

## ROZMOWY I WSPOMNIENIA

ANNA KOWALSKA-LEWICKA  
Kraków

„NASZA WSPÓŁCZESNA ANTROPOLOGIA  
SPOŁECZNA I KULTUROWA NIE POWINNA ODCINAĆ SIĘ  
OD KORZENI, Z KTÓRYCH WYROSŁA”.  
ODPOWIEDZI NA PYTANIA ZBIGNIEWA JASIEWICZA<sup>1</sup>

*Po maturze w Liceum im. Królowej Wandy w Krakowie w roku 1938 zapisała się Pani Doktor na filozofię i romanistykę. W okresie okupacji uczestniczyła Pani w konspiracji, a w trakcie pracy w Muzeum Archeologicznym w kursach historii sztuki i archeologii. Jaka była Pani droga do etnologii?*

W owych czasach do gimnazjum szło się po czwartej klasie szkoły podstawowej, a samo gimnazjum miało osiem klas, czyli maturę zdawało się w 18. roku życia. Po maturze zapisałam się na filozofię ścisłą — po prostu to mnie interesowało, jeszcze w gimnazjum wiele na ten temat czytałam. Równocześnie zapisałam się na romanistykę, dlatego żeby mieć jakieś studia „praktyczne”, które mogły mi dać w przyszłości możliwość zarabiania na życie — myślałam o zawodzie nauczyciela języka i kultury francuskiej. Znałam język, literaturę francuską, lubiłam uczyć (w szkole był system, że lepsze uczennice bezinteresownie pomagały w nauce słabszym).

Trafiłam na doskonałych nauczycieli, zwłaszcza filozofów. Przy tym zupełna swoboda studiów (obowiązkowy był właściwie tylko udział w proseminariach, z wykładów trzeba było mieć w indeksie podpis wykładowcy, ale była to tylko czysta formalność, nie było mowy o sprawdzaniu obecności). Przy tym można było samemu wybierać wykłady, także na innych wydziałach, wedle własnych zainteresowań. Ta sama swoboda dotyczyła egzaminów. Można było studiować cztery lata bez zdania jakichkolwiek egzaminów, a po tym czasie w ciągu kilku tygodni zdać wszystkie egzaminy z ubiegłych lat. Studentów na filozofii (szeroko pojętej) było stosunkowo

---

<sup>1</sup> Pełny tekst odpowiedzi zostanie złożony w Archiwum Naukowym Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego.

niewielu, profesorowie znali ich wszystkich, a dzięki dyskusjom i pracom seminaryjnym wiedzieli, jaką wartość każdy z nich przedstawiał.

Skorzystałam z przywileju wolnych studiów i poza kolokwiami nie zdałam po pierwszym roku żadnych egzaminów — miałam tylko zaliczenia z wszystkich przedmiotów, obowiązkowych i nieobowiązkowych. Jak wiadomo, w tymże roku 1939 wybuchła wojna.

Nie uciekaliśmy, jak wielu Polaków, w pierwszych dniach wojny. Rodzice i brat byli w dniu moich imienin (26 lipca) na wycieczce w Tatrach i tam ulegli wypadkowi. Kiedy wróciłam z karpackiej eskapady, zastałam ich wszystkich w szpitalu w Zakopanem. Byli dosłownie zmasakrowani, z wyjątkiem Matki — ale ona, która wyszła bez jakichkolwiek widocznych obrażeń na ciele, miała złamany kręgosłup. Tuż przed wojną została przewieziona sanitarką do Krakowa, ale mowy być nie mogło o jakiegokolwiek ucieczce. Dzięki temu oszczędzony nam był tragiczny los uciekinierów. Ojciec, Tadeusz Kowalski, co prawda został już 5 września wzięty jako zakładnik przez Niemców (jak kilku innych krakowskich prominentów — był sekretarzem generalnym PAU), ale nikt nie zorganizował zamachu na Niemców, więc i jego niebawem zwolniono z tej „zaszczytnej funkcji”. Niemniej, półtora miesiąca potem, w ramach słynnej *Sonderaktion Krakau*, dostał się do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen pod Oranienburgiem. Wrócił!

Na początku okupacji natychmiast zaczęły się wywózki Polaków z Poznańskiego i innych ziem przyłączonych do Reichu. Pierwsze ich transporty nadeszły, o ile pamiętam, w listopadzie, może nawet w październiku. Krakowskie harcerstwo, w tym i ja, zgłosiliśmy się natychmiast do utworzonej przez kardynała Sapię „Sekcji charytatywnej”, która zajęła się wysiedlonymi. Z dworca kolejowego przewożono ich do starych austriackich bunkrów (Rondo Mogiłskie), koszarów 8. pułku ułanów w Kobierzynie, koszarów 20. pułku piechoty. Tam już dostawali się pod naszą opiekę. Należało zająć się ich zdrowiem, wyszukać im mieszkanie, zdobyć odzież (przyjeżdżali bez niczego, mieli w rodzinnym domu dziesięć minut na spakowanie się, a wysiedleń z zasady dokonywano nocą, kiedy ludzie śpią), znaleźć dla nich pracę itd. Transporty przychodziły prawie codziennie.

Niemal równocześnie, w każdym razie jeszcze w 1939 roku, zaczęła działać tajna szkoła pielęgniarstwa — już wtedy liczone się z walką podziemną i koniecznością posiadania własnych kadr pielęgniarских. Natychmiast zgłosiłam się, mam świadectwo ukończenia rocznego kursu pielęgniarского.

Wysiedlenia skończyły się po kilku miesiącach; wysiedleni zostali rozlokowani w domach prywatnych i klasztorach, które miały wielkie gmachy i po zaledwie kilku pensjonariuszy. Zaczęłam pracować w dziale opieki klasztornej, dostałam pod swą opiekę klasztor Paulinów na Skalce. Powstała już też oficjalna Rada Główna Opiekuńcza „Ergico”, my staliśmy się jej sekcją (początek 1940 roku). Odtąd zaczęto nam wypłacać pensję (za miesięczną pensję mogłam kupić 1 kg masła). Najważniejsze było, że mam pracę, co chroniło przed wywózką na roboty do Niemiec.

Z początkiem 1940 roku nawiązałam kontakt z organizacją podziemną, zaczęłam pracować w dziale propagandy. Moja funkcja polegała na codziennym spotykaniu się z człowiekiem, który przekazywał mi rano, kiedy szłam do pracy, teksty komunikatów

nadawanych przez Londyn. Spotkania odbywały się zawsze w parkach, nie znałam ludzi, od których dostawałam zwitek tekstów. Szłam z tym w miejsce przez nich wskazane, gdzie znów nieznanemu człowiekowi przekazywałam materiały i dopiero wtedy szłam na 8. godzinę do pracy w „Sekcji”. Nieznajomego poznawałam np. po książce w zielonej oprawce, którą trzymał w ręku, lub podobnym znaku, czasem odbywało się to w punkcie kontaktowym, np. w zakładzie szewskim. Po południu udawałam się albo do klasztoru, który mi podlegał, albo znów do punktu kontaktowego po wydrukowany już biuletyn, a z nim do miejsca, z którego inni kurierzy brali paczki do roznoszenia po domach. Moja rodzina nie miała pojęcia, co robię, dowiedziała się dopiero po wojnie. Nie chciałam ich obciążać w razie „wspy”, a oni mieli do mnie pretensje, że wciąż „gdzieś się włóczę”.

Poza tym były różne zlecane akcje, kontakty z terenową partyzantką, należało kogoś odstawić „do lasu” lub tym podobne, ale to długa historia i nie mająca wiele wspólnego z karierą etnograficzną.

Minęły dwa lata, odstawiłam moją ranną porcję podsłuchu i przyszłam do pracy. Koledzy powiedzieli mi, że czeka na mnie jakiś pan. Myślałam, że to któryś z wysiedlonych, wyszłam po załatwieniu najpilniejszych spraw na korytarz, gdzie czekał. Zapytałam, co mogłabym dla niego zrobić, odpowiedział: „pójdziemy na Pomorską” (nazwa ulicy, przy której mieściło się gestapo). Był to dla mnie wstrząs tak silny, że nie potrafiłam go ukryć, choć wtedy zdawało mi się, że tego nie zauważył. Byłam pewna, że obserwował moje ranne podjęcie komunikatu radiowego i przekazanie go następnemu łącznikowi. Przerażenie moje polegało na niepewności, czy wytrzymam tortury i nie sygnę — nikt nie może wiedzieć, jak zareaguje na ból, póki tego nie przeżyje.

Zapytałam, czy mogę moje służbowe sprawy przekazać w biurze — zgodził się. Powiedziałam kolegom, że idę na przesłuchanie i gdybym nie wróciła do południa, niech zawiadomią rodzinę, po czym wyszliśmy. Miałam wtedy 21 lat, ale wyglądałam na kilkanaście. Biała bluzka, granatowa spódnica, warkocz i talent robienia z siebie idiotki — to uratowało mi niewątpliwie życie, a w każdym razie uchroniło od aresztowania i obozu.

Po drodze rozmawialiśmy przyjaźnie, byłam już całkowicie opanowana. O samym przesłuchaniu na Pomorskiej, o konfrontacji w więzieniu, nie będę pisać. To jeden z epizodów mego życia, z których jestem naprawdę dumna, ale nie mających żadnego związku z moją specjalnością. Dość, że mnie puścili.

W pracy konspiracyjnej zostałam zawieszona na sześć miesięcy. Istniała możliwość, że wypuszczono mnie, by nadal śledzić i dojść „po nitce do kłębka”. Odbyłam tę swoją kwarantannę i wróciłam do pracy, ale we własnym przekonaniu byłam już mało wartościowym konspiratorem. Po prostu zaczęłam się bać, wiedząc, że drugi raz nikt mi już nie uwierzy, a poza wszystkim prześladowało mnie przekonanie, że jestem śledzona i czułam, że nie zachowuję się normalnie, np. idąc na kontakt do meliny nie potrafiłam nie obejrzeć się za siebie, gdy słyszałam za plecami czyjeś kroki. Do tego aresztowano mego chłopca i po dwóch tygodniach rozstrzelano w Oświęcimiu. Czułam, że muszę zmienić otoczenie.

Wtedy mój Ojciec dopomógł mi w znalezieniu pracy w Muzeum Archeologicznym w Polskiej Akademii Umiejętności. Zawdzięczałam ją dr. Rudolfowi Jamce, którego Niemcy zostawili w Muzeum jako opiekuna zbiorów i dr. Novotnemu,

Austriakowi z Wiednia, zmobilizowanemu pracownikowi Museum für Völkerkunde, niezwykle przyzwoitemu człowiekowi, którego dr Jamka poprosił o zatrudnienie mnie (Novotny był *Treuhänderem* Muzeum). I oto zaczął się nowy okres w moim życiu, weszłam w samo serce tajnego uniwersytetu.

Muzeum było spakowane do ewakuacji (która na szczęście nigdy nie nastąpiła), a więc nie było prawie żadnych prac — trochę konserwacji ceramiki i żelaza, poza tym morze wolnego czasu. Mieściło się w oficynie Polskiej Akademii Umiejętności, w budynku frontowym znajdowały się biura Liegenschaftverwaltung, a więc ciągły ruch interesantów, który doskonale krył osoby wchodzące przez tę samą bramę do Muzeum Archeologicznego — no i szef Novotny, który nigdy nas nie nachodził bez uprzedzenia.

Uczni krakowscy oczywiście przez całą wojnę pracowali naukowo, mimo innych zajęć, np. prof. Safarewicz, wybitny językoznawca, był konduktorem tramwajowym, a prof. Malecki pracował w „Społem”. Cały uniwersytet robił dla „Społem” pomadki, a sam profesor ponadto zorganizował tajne studia uniwersyteckie. W Muzeum odbywały się regularnie posiedzenia naukowe z referatami na temat prowadzonych prac badawczych. Pełną parą szło tajne nauczanie. Profesor Gąsiorowski wykladał teorię historii sztuki, profesor Ruxerówna, wysiedlona z Poznania i koczująca w sąsiednim Muzeum Przyrodniczym PAU, wykladała archeologię klasyczną, dr Jamka — archeologię Polski, dr Leńczyk — epokę poprzedzającą powstanie państwa polskiego, prof. Jakubowski uczył nas rysunku eksponatów archeologicznych, prof. Albin Jura — paleolitu, antropologię wykladało dwóch asystentów UJ — Jasicki i Sikora. Potem przybył jeszcze prof. Tadeusz Dobrowolski, historyk sztuki. Etnografii uczył Roman Reinfuss, który ze zbiorami Muzeum Etnograficznego, kiedy wyrzucono je z Wawelu, wylądował także w Muzeum Archeologicznym.

Jednym słowem, było się u kogo uczyć, co też młodsze pokolenie wykorzystywało w pełni. W ostatnim okresie, po powstaniu warszawskim, zaroilo się jeszcze od warszawiaków — przybył prof. Antoniewicz, prof. Frankowski, Drewko, znawca paleolitu Krukowski, Marciniak i inni.

Śluchaliśmy wykładów, brali udział w seminariach, pisali referaty, nawet brali udział w wykopaliskach. Muzeum kopalo zameczek w Szaflarach, który okazał się co prawda piecem do wypalania wapna, ale wbudowanym później we wzgórze, na którym stał niegdyś drewniany gród fałszerza polskich pieniędzy, zniszczony przez królewskie oddziały.

Zostałam starościaną studiów historii sztuki i jako taka, już po wojnie, wystawiałam świadectwa naszym wykladowcom. Jeszcze w czasie wojny zdałam egzaminy z historii filozofii u Tatkiewicza, logiki — u Zawirskiego, archeologii klasycznej — u Gąsiorowskiego, historii sztuki — u Dobrowolskiego, antropologii — u Jasickiego, archeologii — u Jamki — to pozwoliło mi na ukończenie studiów zaraz po wojnie, w 1946 roku.

Wracając jeszcze do „drogi ku etnologii”, to ważne było w niej zainteresowanie mego Ojca kulturą ludową. Był humanistą o bardzo szerokich horyzontach, językoznawcą, ale i historykiem kultury, dialektologiem tureckim, ale i znawcą kultury ludowej tureckiej wsi. Schodził na piechotę Azję Mniejszą, tureckie enklawy w Dobrudży, karaimskie osady w Polsce i całe Podhale — nie tylko Tatry.

W Muzeum Archeologicznym stykałam się na co dzień z Romanem Reinfussem, świetnym wykładowcą i badaczem terenowym. Potem pojawił się Moszyński, który zafascynował mnie kulturami innych kontynentów. Archeologia dawała niepełny obraz kultury ludzkiej, przynajmniej taka, jaką poznałam w Krakowie.

*Krajiną ukochaną jest dla Pani Podhale. Obok miłości do gór jest to również zainteresowanie tamtejszą kulturą. Pisała Pani o tradycyjnych normach obyczajowych młodzieży podhalańskiej, strojach, pasterstwie, saniach i wozach. Skąd wzięło się zainteresowanie Podhalem?*

Oboje rodzice od czasów gimnazjalnych związani byli z Tatrami. Ojciec po raz pierwszy zetknął się z Zakopanem jeszcze w przedszkolnych latach. Urodził się i mieszkał wtedy we Francji, a Babka, stęskniona za Krakowem i ogólnie Polską, wyjechała z małymi dziećmi na wakacje do Zakopanego. Pociąg dochodził wtedy tylko do Chabówki, dalej trzeba było tłuc się po kamienistej drodze około 40 km chłopską furką. Po powrocie rodziny do Polski, już w gimnazjum, Ojciec wybrał się z kolegami na piechotę z Krakowa do Tatr — i to był prawdziwy początek jego fascynacji Tatrami i Podtatrzem. Z kolei Matka była koleżanką szkolną Heli Dłuskiej, córki budowniczych sanatorium Dłuskich w Kościelisku, pierwszego gruźliczego sanatorium z prawdziwego zdarzenia w Polsce, zbudowanego zresztą za pieniądze ich przyjaciela Ignacego Paderewskiego. Paderewski był kolegą p. Dłuskiego z konserwatorium w Odessie, tylko że Dłuski miał mniejszy talent, więc skończył dodatkowo medycynę w Paryżu, żeby mieć z czego żyć i tam ożenił się z koleżanką, lekarką — siostrą Curie-Skłodowskiej i bliską znajomą aktorki Modrzejewskiej. *Notabene* Paderewski był ojcem chrzestnym Heli Dłuskiej. Oprócz właściwego sanatorium w parku stała „dyrektorówka”, gdzie mieszkali Dłuscy, a latem tłum przyjaciół ze sfer intelektualno-artystycznych ówczesnej Polski. Moja Matka była tam zapraszana na wakacje, dla podreperowania zdrowia, a kiedy już skończyła medycynę w Wiedniu, pracowała przez rok wojny w laboratorium sanatoryjnym. Spędziła tam też pół roku po maturze, zaproszona przez Dłuskich „dla poratowania zdrowia”. Jej ojciec nie chciał zgodzić się na studia medyczne, uważał, że pannie wystarczy seminarium nauczycielskie, mimo wszystko dopięła swego.

Cale to młodzieżowe towarzystwo: córki p. Curie-Skłodowskiej, jej bratanica Haniusia Skłodowska i jej późniejszy mąż Walek Goetel (kolega szkolny mojego Ojca), Ojciec, no i oczywiście Hela Dłuska całe lato chodzili po Tatrach. Starsze pokolenie muzykowało i wiodło intelektualne rozmowy. Pani Dłuska, dobry lekarz i arcyenergiczna kobieta (m.in. wszystkie społeczne inicjatywy jej męża, np. kościół w Kościelisku, Muzeum Tatrzańskie, życie towarzyskie i wycieczki tatrzańskie — to była zawsze inicjatywa i cała praca organizacyjna pani Dłuskiej), organizowała życie tej małej społeczności, a także administrowała sanatorium.

Kiedy Rodzice byli już na studiach w Wiedniu, nadal wakacje spędzali w Kościelisku. Jako młode małżeństwo wynajmowali izbę na Sobiezkowej, u Hanki Stopki Macicki, która z latami stała się serdeczną naszą przyjaciółką, a moją najukochańszą Babką-Gaździną. Babka nie umiała pisać, ale mimo to była jedną z najmądrzejszych

kobiet, jakie znałam. Mimo że była niebogata, że była analfaberką, a najdalsza kraina, do której dotarła (oczywiście na piechotę), to była Kalwaria Zebrzydowska, była osobą niezwykle rozsądną i mądrą, z której zdaniem liczyła się cała Polana Sobiechowska. We wszystkich sporach, np. o miedzę, czy innych kłótniach sąsiedzkich, to do niej udawano się o opinię i jak ona zdecydowała — tak robiono. Po prostu, wieś doceniała jej uczciwość, bezinteresowność, doświadczenie i wiedzę. Poza tym Babka umiała czarować, o czym dowiedziałam się dopiero po jej śmierci. To była moja pierwsza „informatorka”, ona przekazała mi wiedzę swojej młodości, a urodzona była w latach pięćdziesiątych XIX wieku, a więc pamięcią sięgała bardzo odległych czasów.

W deszczowe dni bawiłam się na podłodze w jej izbie, podczas gdy ona przędła, siedząc na ławie pod oknem (gospodarstwo prowadziła już wtedy jej córka, rówieśnica mojej Matki). W pogodę zabierała mnie na pole, suszyć siano, paść krowy, „brać” len, wiązać owsiane snopki, później bawić jej wnuki. Najbardziej lubiłam prace przy lnieniu. Babka marzyła o wnuczce, a doczekała się samych wnuków — chłopców, stąd serdeczna miłość, jaką mnie darzyła.

Niewątpliwie, moje dzieciństwo na Sobiechowskiej, dzieci, z którymi się wtedy bawiłam, chałupy ich rodziców i dziadków, a przede wszystkim obcowanie z Babką — to początek mojej miłości do Podhala i mojej wiedzy o kulturze góralskiej. Nic więc dziwnego, że z chwilą zapadnięcia żelaznej kurtyny, kiedy „szeroki świat” zdawało się na zawsze zostać przed nami zamknięty, moje zainteresowanie skierowałam ku mojej drugiej (poza Krakowem) ojczyźnie — Podhalu.

Takiego Podhala już nie ma, nie ma ludzi, którzy by je pamiętali. Górale podzielili los Indian Stanów Zjednoczonych, są już tylko góralami „na pokaz” dla ceprów, jak tamci Amerykanie, dla których „indiańskość” jest już tylko wabiem dla turystów, którzy w podzięcie za sfotografowanie się z „prawdziwym” Indianinem płacą żywą gotówką.

*W artykule na temat etnologii polskiej po II wojnie światowej przed rokiem 1956 napisałem, że wyjazdy na badania nad kulturą ludów pozaeuropejskich były wówczas zupełnym wyjątkiem. Takim zupełnym wyjątkiem była Pani Doktor. W roku 1947 wyjechała Pani do Ameryki. Częścią rocznej wędrówki po Ameryce Południowej były kilkutygodniowe badania wśród Indian Shipibo. Jaka była przyczyna zainteresowań Ameryką Południową? Jak udało się wyjechać? Dlaczego, po opublikowaniu zupełnie wyjątkowej w naszym piśmiennictwie książki „Shipibo” (Wrocław 1969), nie kontynuowała Pani zainteresowań amerykańskich?*

W lecie 1939 roku zorganizowałam miesięczną wędrówkę po Karpatach Wschodnich. Piszę o niej, gdyż miała zaważyć na dalszych mych losach. Zaproponowałam trzem moim przyjaciółom wspólną wędrówkę od Worochty po Hnitesę, ostatnie pasmo Karpat Wschodnich, leżące już na granicy ówczesnego państwa polskiego. Panowie byli ode mnie starsi co najmniej o osiem lat: absolwent WSH (Wyższa Szkoła Handlowa w Krakowie), asystent historii Uniwersytetu Lwowskiego i asystent orientalistyki Uniwersytetu Lwowskiego. Mieliśmy się spotkać w Żabiem, już na Huculszczyźnie, i stamtąd wyruszyć główną granią Karpat aż po granicę ZSRR. Wędrówka

miała trwać miesiąc. Zgodnie z umową spotkaliśmy się w schronisku PTT w Żabiem, niestety lwowski historyk nie dojechał. Czekaliśmy dwa dni, wreszcie zdecydowaliśmy ruszyć tylko w trójkę. Nigdy potem już nie miałam o nim żadnych wieści.

Ruszyliśmy z Worochty z potwornie ciężkimi plecakami. Trzeba było dźwigać namioty, śpiwory i żywność, bo wsie leżały w głębokich dolinach, a schronisk na grani nie było. Ostatnie znajdowało się na Popie Ivanie — dalej już tylko szalasy pasterskie, gdzie można było dostać mleka i sera — nic więcej. Pogoda była cały czas fantastyczna, krajobrazy zatykające dech w piersiach i przez miesiąc zaledwie kilka razy spotkaliśmy huculskich pasterzy, ani razu turystów. Trzy razy dziennie kukurydziana mamalyga okraszona skwarkami, herbata, ewentualnie borówki i grzyby, zebrane po drodze i morze gór. Bo w Tatrach, które znałam od urodzenia, gdziekolwiek spojrzysz, widać w dali niziny i ludzkie osady — tu tylko puste łańcuchy górskie.

To był pierwszy cud mego długiego życia. Pod powiekami do dziś mam te widoki — ale nie o tym rzecz. Pamiętam rozmowę którejś nocy przy ognisku. Powiedziałam do moich towarzyszy — czy to nie skandal, że ja, dziesięcioletka, jak dotąd organizuję dla nich, o tyle ode mnie starszych, wyprawy „w szeroki świat” (rok przed Huculszczyzną było to wielodniowe koczowanie w opuszczonych szalaszach i kolibach podskalnych w Tatrach). Mam „pomysł”, wyznaczam trasę, czas, ekwipunek, a oni, stare chłopcy, po prostu jadą już „na pewnego”. Czy nie byłby czas, by i oni pomyśleli o zorganizowaniu następnych wakacji? Pierwszy odezwał się „handlowiec”, że dobrze, że to on bierze na siebie organizację następnych wakacji. — A dokąd chciałabym pojechać? — Bez namysłu powiedziałam, że do Ameryki Południowej. Dlaczego tam akurat? Po prostu w Polsce przedwojennej był to kontynent u nas najmniej znany, a ja właśnie byłam po lekturze Lepeckiego. Staszek uściśnął moją dłoń i z poważną miną powiedział: „Dobrze, stoi! Na przyszłe wakacje organizuję wyprawę do Ameryki Południowej!”. I jak się okazało, dotrzymał słowa, choć z opóźnieniem, bo po wojnie, której nikt z nas w lipcu 1939 roku nie spodziewał się.

Wszyscy troje wojnę przeżyliśmy. Ja w Krakowie, Tadeusz (mój późniejszy mąż) najpierw we Lwowie w konspiracji, potem „wsypa”, udało mu się uniknąć aresztowania, potem w Warszawie pod zmienionym nazwiskiem, stąd partyzantka na Zamajsczyźnie, powrót do Warszawy po nowy przydział, w międzyczasie wybuch powstania, kapitulacja, obóz jeniecki w Murnau, po wojnie oddziały wartownicze USA w Niemczech, Włochy i Anders w płonnej nadziei, że jednak wybuchnie dalsza wojna i odzyskamy wolność, Jalta, przewiezienie polskiego wojska z Włoch do Anglii, wreszcie propozycja pracy na uniwersytecie w Cambridge i mimo wszelkich pokus nostalgia i powrót jesienią 1947 roku do Polski.

Zaraz po zakończeniu wojny dostałam list z Kolumbii. Pisał mój towarzysz wyprawy w Karpaty Wschodnie — że przyszedł czas, by dotrzymać danego słowa. Wojnę przeżył. Znalazł się we Włoszech, skąd już prosta droga do Ameryki Południowej. Przekwalifikował się w międzyczasie na geologa, przyjął pracę u Shella i obecnie poszukiwał złóż ropy naftowej w Andach. Jego szef wyraził zgodę na mój udział w wyprawach poszukiwawczych w charakterze turystki (jedna więcej osoba w ich wyprawach nie stanowiła problemu), więc mogę przyjechać, kiedy mi się podoba.

Euforia! Ziszcza się moje marzenia! Wymagane egzaminy miałam w większości zdane. Pracę magisterską i egzamin końcowy miałam gotowe wiosną 1947 roku. Brakowało tylko drobnej formalności — paszportu. I tu następny „cud”. Ministrem spraw zagranicznych był wtedy Modzelewski, ideowy komunista, po wielu latach więzień za komunizm. Wtedy jeszcze u władzy było wielu ideowców, potem już prawie wyłącznie karierowicze. Modzelewski wykombinował (i chyba słusznie), że byłoby rozsądnie zrobić ambasadorem polskim w Turcji mego ojca (dobra znajomość języka i kraju, twórca pierwszej „dialektologii tureckiej”, serdeczny przyjaciel ówczesnego tureckiego ministra spraw zagranicznych). My wojnę przeżyliśmy w kraju okupowanym przez Niemców, od strefy rosyjskiej dzieliła nas granica wojenna, słabo orientowaliśmy się w stosunkach po tamtej stronie kordonu. Ojciec na tę propozycję odpowiedział — decyzję podejmie, jeśli będzie mógł wyjechać do Turcji i zobaczyć, jak przedstawia się rzeczywistość. Modzelewski zaakceptował taki pomysł. W międzyczasie mnie odmówiono paszportu. I wtedy Ojciec poprosił Modzelewskiego o interwencję. Paszport dostałam natychmiast. Oczywiście, nie chwaliłam się, jaką drogą — i co zabawniejsze, zgłosiło się kilka osób, które „w najściślejszej tajemnicy” zakomunikowały nam, że to wyłącznie dzięki nim dostałam ten paszport.

Skończyłam pracę magisterską, zdałam ostatni egzamin, wyjechałam via Paryż i Londyn, dalej już samolotem: Azory, Bermudy, Jamajka, Bogota. Zamieszkałam u przyjaciół Szwajcarów w Bogocie i oni uświadomili mi, że mam kruche szanse na wizy południowoamerykańskie. Ich przyjaciel, ambasador Szwajcarii w Kolumbii i szef korpusu dyplomatycznego, zaproponował, że da mi *passaporte de emergjencia*, czyli paszport „bezpieństwa”. Z wdzięcznością przyjąłem tę propozycję, polski paszport schowałam sobie na powrót i odtąd byłam już pod opieką szwajcarskich placówek dyplomatycznych w Kolumbii, Ekwadorze, Peru i Boliwii. Muszę przyznać, że była to serdeczna, życzliwa i bardzo pomocna opieka. Drugim moim opiekunem i sponsorem okazał się szef Shella na Kolumbię, no i oczywiście mój przyjaciel z wyprawy w Karpaty Wschodnie, który wprowadził mnie w to całe towarzystwo. Bez niego nigdy bym nie zrealizowała swych marzeń. Przeniósł się potem do USA, ożenił się z Polką, więźniarką Oświęcimia, potem wyjechał na Alaskę.

W Ameryce Południowej miałam dwa dokonania (nie licząc licznych, dłuższych i krótszych, wycieczek w wyżej wymienionych krajach). Pierwsze — to konna wyprawa w poprzek Cordillera Central w Kolumbii (wyprawa Shella miała na celu zmierzenie wysokości przełęczy, przez którą zamierzano przeprowadzić rurociąg, dostarczający ropę ze złóż nad Atlantykiem do największego portu — Barranquilla, nad Pacyfikiem. A map i pomiarów wtedy jeszcze nie było! Po raz pierwszy w życiu siedziałam na koniu i to od razu w bardzo stromych, prawie bezludnych górach i co najważniejsze — nie spadłam!

Drugie dokonanie — to wyprawa, też pod auspicjami Shella, do Selva na Rio Ucayali — Amazonia w Peru, a jeśli już selwa, to i wybrzeże od granicy Ekwadoru do granicy Chile i wyprawa nad jezioro Titicaca, z wypadem do Boliwii. To ostatnie już bez Shella, ale pod opieką kompanii „Hoteleria Peruana”, należącej do Szwajcarii, oczywiście z polecenia Shella.

W planie było jeszcze kilka miesięcy w Ameryce Centralnej, ale Ojciec, po kilku miesiącach jeżdżenia po Turcji (wykorzystał ten pobyt do celów naukowych), po powrocie do Polski pojechał natychmiast do Warszawy, by podziękować Modzelewskiemu za propozycję pracy w służbie dyplomatycznej, której jednak nie przyjął. Po prostu w polskiej ambasadzie pracował jego uczeń (jako tłumacz), który powiedział Ojcu, że wszelkie decyzje ambasador musi uzgadniać z portierem, Rosjaninem. Ojciec nie powiedział tego Modzelewskiemu, nie chcąc kompromitować swego informatora. Jednakże Modzelewski ułatwił mu sytuację.

Do podróży po Turcji przydzielono Ojcu urzędnika ambasady, jako „sekretarza”. Trudno było z niego zrezygnować, bo pan ambasador osobiście prosił, by Ojciec się zgodził. Otóż teraz Modzelewski wyciągnął z szuflady pękata teczkę, pokazał ją Ojcu — że oto dostał „raport” tego tzw. sekretarza, w którym znajduje się zarówno informacja, z kim Ojciec się spotykał, jak i jakie są jego prawdziwe poglądy. Powiedział, że może się zapoznać z jej treścią, ale Ojciec zrezygnował z tej przyjemności. Szkoda mu było czasu. Wtedy Modzelewski podarł kartę po karcie, wyrzucił do kosza na papiery i ściskając na pożegnanie rękę Ojca powiedział: „Wcale się panu nie dziwię, nie myślałem, że to aż tak...”. Przyzwoity facet, krótko był ministrem. Ale ja swój paszport miałam, a zresztą wtedy już mnie w Polsce nie było.

Wracając do mojej podróży — plany nie ziściły się. W czasie pobytu nad Ucayali nie miałam żadnej możliwości komunikowania się ze światem. Ale już po powrocie, na lotnisku w Bogocie, wręczono mi korespondencję, jaka w międzyczasie nadeszła. Matka pisała, że Ojciec jest śmiertelnie chory — rak jelit z przerzutami na wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, że jeśli chce go jeszcze zobaczyć, muszę natychmiast wracać. Na samolot nie miałam pieniędzy, rezerwacja miejsca na statku wymagała czasu. Wyjechałam więc do USA via Miami, Waszyngton, Nowy Jork, wszędzie krótki czas pobytu poświęcając na zwiedzanie muzeów, głównie tych, w których były zbiory z Ameryki Południowej, ale nie tylko — sądziłam, że tam już nigdy nie będę (w tym jednym się pomyliłam). W Paryżu na dworcu czekali na mnie prof. Wędkiewicz (dyrektor stacji PAU) i p. Pułaski (*notabene* właściciel Manhattanu, który, jako bezludną wyspę, ofiarował jego antenatowi Washington i o którą całe życie się procesował — niestety procesu nie wygrał). Mieli już dla mnie bilet na pociąg odchodzący tegoż dnia nocą do Polski. Mieli też list od Matki do mnie. Niestety, Ojciec żył po moim powrocie jeszcze parę miesięcy. „Niestety” piszę z myślą o Nim, bardzo cierpiał.

Pyta Pan, dlaczego zarzuciłam tematykę amerykańską. To bardzo proste. Wróciłam do Polski już po ucieczce Mikołajczyka, kiedy dla nas ostatecznie zatrzasnęła się brama więzienia. Byłam przekonana, że już nigdy nie przekroczę granic „Polski Ludowej”, a emigrować nie chciałam. Mam liczną rodzinę za granicami kraju, ale oni wszyscy, czy ich rodzice, wyjechali w czasie działań wojennych w 1939 roku, bardzo często via Sybir — to całkiem inna sytuacja. Byłam wtedy pewna, że mnie więcej nie wypuszczą, a Moszyński wszczepił we mnie zasadę, że lepiej napisać mały artykułek, ale przynoszący nowy materiał, niż mleć w kółko to, co już ktoś napisał przed nami. Nie oceniam teraz, o ile miał słusność, ale przy ówczesnej „zabsobności” naszych bibliotek w „americana”, nawet kompilując, miałam minimalne

możliwości. Wolalam drobne prace, ale oryginalne, a Podhale znalazłam od podszewki; rozumiałam, wiedziałam, jak mało o nim wiemy.

Po powrocie do kraju zaangażowałam się w pracę w PTL, zrazu w Oddziale Krakowskim. Mój wyjazd był wtedy sensacją, byłam więc rozrywana z moimi prelekcjami o Ameryce Południowej.

Funkcjonowała wówczas organizacja nosząca miano (o ile pamiętam) „Wiedza Powszechna”. Jakoś się o mnie zwiadzili i organizowali mi prelekcje w całej południowej Polsce. Ludzie spragnieni byli wiedzy o szerokim świecie, sala zawsze była wypełniona po brzegi, dyskusja i pytania ciekawe, zazwyczaj po takim wystąpieniu zapraszano mnie do prywatnych domów. Była to dla mnie wielka przyjemność — łatwo przychodziło mi mówienie publiczne, przyjemnością było przypomnienie niedawnych przeżyć.

*Po powrocie z Peru zetknęła się Pani Doktor z sensacyjną sprawą skarbu inkaskiego odnalezionego jakoby w Niedzicy. Ostatnio powiedziała Pani dziennikarzowi: „Straciłam rok życia, mogłam zrobić coś ciekawego, ...a tymczasem gonilam tym tropem, nie chcąc uwierzyć, że to wszystko bujda”. Co spowodowało zaangażowanie się Pani w tę sprawę? Chęć uczestniczenia w czymś niezwykłym? Przekonywająca mistyfikacja?*

Zaraz po powrocie z Peru dowiedziałam się z artykułu w którejś z krakowskich gazet o rewelacyjnym odkryciu Jalu Kurka, który spotkał w Krakowie ni mniej, ni więcej — ostatniego potomka Inków. Sensacja nie z tej ziemi na skalę światową! Zajmowali mnie Indianie selwy, o państwie Inków wiedziałam tyle, co przeciętny turysta zwiedzający peruwiańskie Andy i płaskowyż wokół jeziora Titicaca. Okres bezpośrednio po konkwisie był stosunkowo mało znany, a tym bardziej mnie mało znany. W Polsce nikt się tym nie zajmował, poza moim antenatem, doktorem Klugerem, który *notabene* swe zbiory amerykańskie ofiarował Muzeum Archeologicznemu PAU, gdzie chadzałam jako mała dziewczynka z Rodzicami, oprowadzana przez innego antenata, Włodzimierza Demetrykiewicza. Pamiętam tylko tyle z owych odległych czasów, że bałam się śmiertelnie peruwiańskich mumii i „ogłądałam” je z zaciśniętymi powiekami, żeby nie musieć patrzeć na te okropności, ciągnięta za rękę przez wujka, Włodzimierza Demetrykiewicza, w tych czasach kierownika Muzeum Archeologicznego PAU.

Rzecz opisana przez Jalu Kurka wyglądała prawdopodobnie — a gdyby była prawdziwa, byłaby naprawdę sensacją na światową skalę. Wniosek prosty — skoro już nigdy nie wypuszczą mnie z Polski, skoro napisałam już wszystko, co wiedziałam o moich Indianach, a mielenie nie wiem po raz który odkryć innych podróżników uważałam za stratę czasu — tu mogłam się „wykazać” czymś odkrywczym. No i postanowiłam rzecz zbadać, a w razie, gdy okaże się prawdziwym „odkryciem” — będzie to rewelacja.

Przez ponad rok z etnologa stałam się detektywem. Muszę tu złożyć pokłon geniuszowi mego późniejszego męża. Po krótkim czasie, wtajemniczany przeze mnie w coraz to nowe odkrycia, powiedział: „Daj sobie z tym spokój, po prostu studencina

Benesz postanowił «poderwać» pannę Pacułę, a że nie miał jej czym zaimponować, postanowił zagrać rolę ni mniej, ni więcej, tylko spadkobiercy korony Inków («Inkasów», jak sam się nazwał), poza tym chłopak musi mieć bujną fantazję i musiał czytać powieści Umińskiego [mąż był wiernym czytelnikiem literatury młodzieżowo-przygodowej okresu międzywojennego]. Nie demaskuj go, bo panna z nim zerwie, a szkoda go — musi być ostro zakochany». Ale ja oczywiście nie posłuchałam. Ponad rok tropiłam biednego Benesza. Sekundowała mi gromada dziennikarzy, a każdy z nich „odkrywał” nowe szczegóły. Nawet ubiegłego lata poznałam (ściślej — niemal poznałam, bo zrećźnie uniknął spotkania ze mną) kolejnego odkrywcę, który już nie artykuł, ale całą książkę o tych wydarzeniach napisał. Swego czasu pisał książkę Jan Józef Szczepański, któremu *notabene* pożyczyłam cały zgromadzony z trudem materiał — nigdy go już nie zobaczyłam (nie Jana Józefa, ale materiału). Słowem, artykuły z coraz nowymi odkryciami, książki, nawet film — czyż w tych warunkach można burzyć taki genialny mit?

Niemniej, zaczynając całą sprawę, naprawdę w nią wierzyłam, tylko że ja szukałam prawdy, oni szukali sensacji. Oczywiście ja przegrałam, bo ludzie lubią być oszukiwani, zwłaszcza jeśli to oszustwo jest takie romantyczne.

*Pod kierunkiem Profesora Kazimierza Moszyńskiego przygotowała Pani Doktor pracę magisterską i doktorską. Nazywa go Pani w jednym z artykułów „swoim mistrzem, wspaniałym wykładowcą i nauczycielem”. Co w Profesorze tak ujęło ucznia i współpracownika?*

Pracę magisterską napisałam u prof. Moszyńskiego, który po wojnie zjechał z Wilna i rozpoczął swoje fascynujące wykłady, słynne na całym UJ. Przychodzili na nie słuchacze z innych wydziałów, po prostu, żeby posłuchać, rozszerzyć swoje horyzonty — był np. student, późniejszy profesor Akademii Górniczej. Moszyński był fantastycznym mówcą, do tego świetnym rysownikiem. Wszystkie mapy, przedmioty, o których mówił, równocześnie kilku pociągnięciami rysował na tablicy. Ludzie siedzieli w ławkach, na podłodze, stali, a ci, którzy nie mogli się wcisnąć, stali przy otwartych drzwiach na korytarzu. W czasie jego wykładu panowała cisza absolutna, wszystkie oczy wlepione w mistrza, nikt nie odważył się głośno oddychać. Nie trzeba się było uczyć, pamiętało się każde słowo.

Przy referatach (nie mówiąc już, że przy dyskusji) padało często pytanie: „Jakie ma pan(i) fakty dla poparcia swej tezy?” lub: „Czy to pana (pani) zdanie, czy też cytuje pan(i) jakiś autorytet — a jeśli tak, proszę podać, kogo, lub udokumentować faktami pańską opinię”. Ciężkie to były próby dla zlotoustych teoretyków, płaczących się, gdy Profesor żądał od nich poparcia konkretnymi błyskotliwych tez. Porażający był też zakres jego wiedzy, a także piękno jego polszczyzny. Przy tym interesował się losem swych studentów, sam proponował w wypadku trudności finansowych podjęcie starań o stypendia, które potem skutecznie popierał. Po prostu był indywidualnością w najlepszym tego słowa znaczeniu, człowiekiem absolutnie i bez reszty oddanym nauce, prawdomównym, odważnym politycznie, sprawiedliwym i o głębokim poczuciu własnej wartości.

Moja praca doktorska nosiła tytuł (o ile pamiętam) „Ceramika Indian selwy” lub coś w tym rodzaju. Widać tu obciążenia archeologiczne, gdyż za moich czasów w archeologii kładziono główny nacisk na typologię, technikę wyrobu itp. realia. Zresztą w Katedrze brak było literatury do szerszych ujęć.

*W środowisku krakowskim w okresie powojennym pracowało kilku wybitnych etnologów/antropologów społecznych wykształconych jeszcze przed wojną: Kazimierz Moszyński, Kazimierz Dobrowolski, Andrzej Waligórski, Anna Kutrzeba-Pojnarowa, Jadwiga Klimaszewska, Mieczysław Gładysz, Roman Reinfuss, Tadeusz Seweryn. Czym się różnili? Którzy z nich ze sobą współdziałali?*

O Moszyńskim już mówiłam. Dobrowolski był niewątpliwie inteligentny, dobry naukowiec, ale charakter żaden. Opowiadał mi o nim Roman Reinfuss, który u niego bywał, w czasie wojny pożyczał od niego książki z jego olbrzymiej biblioteki. Przede wszystkim Dobrowolski odmówił udziału w tajnym nauczaniu — to wiem z własnego doświadczenia, byłam do niego delegowana jako starościna grupy etnologów, historyków sztuki i archeologów. Reinfuss, kiedy zaczął go odwiedzać, w gabinecie Dobrowolskiego, za szkłem drzwi szafy z książkami, widział fotografię Dobrowolskiego w mundurze żołnierza austriackiego z I wojny światowej. Po wojnie została wymieniona na fotografię Dobrowolskiego ściskającego dłoń Bieruta — takie niby nic, a jednak... Nie zachowywał się także właściwie w więzieniu, a zwłaszcza w obozie koncentracyjnym. Przed wojną dom Dobrowolskiego był odwiedzany powszechnie. Ojciec nieraz w dyskusjach domowych powoływał się na jego głębokie socjologiczne opinie o sytuacji geopolitycznej w Polsce i bardzo go cenił. Po powrocie z obozu, w dzień św. Kazimierza, a więc w dniu imienin Dobrowolskiego, jego imieniny zostały zbojkotowane. Nikt z kolegów obozowych nie przyszedł. Tak trwało przez pierwsze lata, potem wobec natłoku wydarzeń i faktów, pomalutko jakoś się ta pamięć rozmyła — nastąpiły dalsze wydarzenia, które zatarły pamięć. A przełamał ten bojkot Kutrzeba (skądinąd bardzo wysoko przez Ojca ceniony), którego córka, Hanka Kutrzebianka, jeszcze w gimnazjum, za radą Dobrowolskiego opracowała kapliczki z Zawoi. Później Dobrowolski pomógł jej w opublikowaniu tej pracy.

Chodziłam na seminaria Dobrowolskiego, był dobrym naukowcem i wykładowcą, a innego socjologa nie było, ale my, najstarsza grupa studentów, na ogół wiedzieliśmy o jego oportuniźmie. Niemniej tyle się od pierwszego roku wojny działo, że jego sprawki obozowe zbladły wobec o wiele bardziej aktualnych problemów. Zresztą i moralne zasady przybladły wobec nowych wyzwani ideologicznych.

Andrzej Waligórski — przyjechał po wielu latach pobytu w Anglii, gdzie wyjechał jeszcze przed wojną jako stypendysta-anglista (z wykształcenia był wtedy filologiem angielskim). W Anglii zaskoczyła go wojna, wstąpił do polskiej armii (tego rozdziału jego życia nie znam zupełnie). Tam trafił do Malinowskiego i stał się etnologiem. Co najmniej rok prowadził badania wśród Luo (Afryka, Kenia), gdzie wyjechał na angielskie stypendium z żoną Angielką i dwojgiem dzieci.

Tak bardzo tęsknił za Polską, że zdecydował się na powrót, co miało fatalne skutki w jego prywatnym życiu. Żona nie wytrzymała warunków mieszkaniowych (stare

mieszkanie matki Andrzeja), mało kto wówczas w Polsce znał język angielski, więc i ich stosunki towarzyskie były mocno ograniczone, ale ta izolacja została szybko przezwyciężona. Ona była ładna, miła, głęboko przekonana o wyższości Anglików w całym cywilizowanym świecie, co z zapalem podtrzymywali krakowscy anglomani. Zaczęła dawać lekcje angielskiego w sferach uniwersyteckich, robić wspólnie z mężem tłumaczenia do różnych wydawnictw naukowych, słowem, mogło być wszystko OK., ale nie było. Andrzej zachorował na ciężką astmę, dosłownie dusił się biedak, był ciągle chory. Do tego postanowił zapisać się do partii — nie wiem dlaczego, chyba ze strachu, ale że był człowiekiem przyzwoitym, do partii nie został przyjęty, a w każdym razie żył w ustawicznym lęku przed aresztowaniem — i na tym tle zaczęły się jego kłopoty psychiczne. Skończyło się rozwodem. Andrzej został zawieszony w próżni. Oboje, najpierw razem, potem osobno byli naszymi dobrymi znajomymi. W tych czasach, za życia Tadeusza (mego męża), prowadziliśmy tzw. dom otwarty — stałe spotkania, przyjęcia, bale w karnawale, wspólne wyjazdy do naszej chałupy w Kościelisku. Andrzej należał do tej grupy, jego ex-zona także, choć bywała rzadszym gościem.

Andrzej nie był nigdy moim profesorem — przyjechał do Polski, kiedy już byłam „gotowym” etnologiem, ale zafascynowana Malinowskim często korzystałam z jego konsultacji. Był bardzo inteligentny, opiekował się po ojcowsku swymi uczniami, jeden z nich został mu wierny do końca swego życia (Dzięgiel, bardzo przyzwoity facet!). Cenił go ogromnie Moszyński i stale zasięgał jego rad (w sensie naukowym) — wiem to od nich obu. Niewątpliwie był gentlemanem. Także niewątpliwie miał niewielu przyjaciół wśród mężczyzn. Tępił go prof. Dobrowolski, choć w swój charakterystyczny sposób: „To bardzo inteligentny człowiek, szkoda, że psychopata, szkoda, że nie umiejący pisać, szkoda że... itd.”. Tuptuś (prof. Dobrowolski) do przyjazdu Waligórskiego uchodził za jedynego ucznia prof. Malinowskiego, a Andrzej mu tę chwałę odebrał.

Z Andrzejem współpracowałam blisko, odkąd zaproponował mi reaktywowanie Komisji Etnograficznej przy krakowskim Oddziale PAN (już po likwidacji PAU), pod jednym warunkiem — że on jako profesor zajmie się reaktywowaniem i gotów jest zostać prezesem, ale ja zostanę sekretarzem i zajmę się całą stroną organizacyjną. Zgodziłam się, po prostu lubiłam organizować i nieźle mi to wychodziło. Za naszej wspólnej kadencji regularnie odbywały się zebrania, każdego roku zapraszaliśmy zagranicznych prelegentów, regularnie wychodziły sprawozdania — no i doskonale nam się współpracowało. Ułatwiała nam pracę znajomość języków, organizowanie dla gości zagranicznych wyjazdów badawczych w teren i przyjęć w moim domu, gdzie mieli okazję poznać lokalny światek etnologiczny.

Anna Kutrzeba-Pojnarowa — trudno mi ją oceniać obiektywnie. Blżej poznałam ją, kiedy Ojciec został sekretarzem generalnym PAU, czyli od 1939 roku (wiosną). Zbliżyła nas (zresztą zbliżyła cały Uniwersytet) wojna, zwłaszcza aresztowanie profesorów (a więc jesień 1939). Była ode mnie kilka dobrych lat starsza, a w tym wieku to ogromna różnica. Ona przed wojną była już asystentką, ja ledwie na pierwszym roku studiów. A po wojnie ona szybko wyjechała do Warszawy, ja zostałam, mimo namów, w Krakowie. Kutrzeba był wdowcem, jej (Hanki) młodsza siostra Helena,

anglistka, zmarła tragicznie w czasie wojny. Najmłodsza Madzia nie liczyła się w rodzinie, nie była intelektualistką, studiowała na Wyższej Szkole Handlowej. Hanka pełniła więc rolę pani domu, domu, który był ośrodkiem życia towarzysko-naukowego Krakowa, co jeszcze podnosiło jej prestiż. Zaprzyjaźniłyśmy się dopiero po moim powrocie z Ameryki i małżeństwie z Tadeuszem (zawsze — „pani profesorkowa”). Hanka była życzliwa ludziom, nie wiem, jakim była pedagogiem, bo nigdy nie byłam na jej wykładach. Referaty naukowe (głównie słyszałam ją na zjazdach PTL) były zawsze inteligentne, często nowatorskie — musiała być naprawdę bystra, bo w ogromnej większości pisała je albo w pociągu, jadąc na zjazd, albo w hotelu, w nocy poprzedzającej samo wystąpienie. To, co napisała, też było ciekawe. Raz tylko byłam z nią na badaniach terenowych — tu mogę z całą pewnością powiedzieć, że nie umiała rozmawiać z ludźmi niewykształconymi, ale to jej nie przeszkadzało zdobywać wiadomości — umiała korzystać z ekspertów społecznych i to bardzo dobrze. O Hance o wiele więcej mogliby powiedzieć jej uczniowie — zresztą to zrobili.

Jadzia Klimaszewska. Była tak dalece w cieniu swego mistrza prof. Moszyńskiego, że trudno powiedzieć, jaka była naprawdę. Nigdy nie była moim nauczycielem, nie chodziłam nawet na jej proseminaria. Myślę, że gdyby była wybitniejszą indywidualnością, mimo wszystko wyzwoliłaby się z tej intelektualnej niewoli. Uwielbienie dla mistrza też trzeba odrobinę dozować. Byłam z nią dwukrotnie na badaniach i była świetna jako terenowiec. Miała też talent pedagogiczny, ale na poziomie proseminarium. Była lubiana przez uczniów. Mimo że ją znałam od początku okupacji (obie pracowałyśmy w RGO), że to ona pierwsza wprowadziła mnie „w teren”, nie potrafię właściwie nic więcej o niej powiedzieć jako o etnografie. Miała swoje sympatie (przeważnie miernoty) wśród studentów i swoje antypatie — my obie byłyśmy zawsze w dobrych stosunkach, aż do jej śmierci. Próbowalam namówić prof. Robotyckiego, by urządził jej jubileusz, kiedy kończyła 90 lat — odmówił. Bądź co bądź wszyscy etnologowie, którzy studiowali w ciągu minionych 50 lat, byli jej uczniami — należało jej się to. Mówiła, że nie lubi żadnych „jubli”, ale to się tak mówi, na pewno by była zadowolona. Niestety, moim zdaniem, nie znała się na ludziach. Komplementy (a starano się jej schlebzać w czasach, kiedy była „asystentką Moszyńskiego”) brała za dobrą monetę i ciężko się potem rozczarowywała, kiedy już nie była potrzebna. Ale z godnością znosiła porażki. Niechętna była prof. Gajkowi, chyba dlatego, że przynajmniej częściowo zrealizował koncepcję atlasu etnograficznego Polski, którego pomysłodawcą był jeszcze przed wojną Moszyński — ale to tylko mój domysł.

Mieczysław Gładysz. Poznałam go jeszcze w czasie wojny. Tuż przed wojną wydał w PAU, w serii prac śląskich, dwa tomy swojego *Zdobienia na Śląsku*. Była to jedyna seria wydawnictw, za którą płacono honoraria, a on miał tyle rozumu, by te pieniądze ulokować w handlu. Podobno jego brat otworzył sklep spożywczy w Częstochowie, który wspaniale prosperował przez cały czas okupacji, dzięki czemu nie miał problemów finansowych. Żeby być zatrudnionym, pracował w RGO, w sekcji opieki nad wysiedlonymi z Rzeszy i mieszkającymi w klasztorach. Codziennie zjawiał się koło południa, zawsze idealnie elegancki i zadbany, gdzie już czekała na niego pani Myczkowska (mam nadzieję, że nie myślę nazwiska) i wychodzili razem

na „odwiedziny klasztorne”. Jego żona, Lila Gładyszowa, pracowała w tej samej instytucji, w magazynie odzieżowym (zbieraliśmy odzież dla wysiedlonych). Dosiadywała czasu końca pracy, po czym obładowana zdobytymi zakupami wracała do domu, wstępując po drodze na tzw. „komplety”. Uczyła, oczywiście „społecznie”, geografii w działających w konspiracji „kompletach” gimnazjalnych, zbierających się w prywatnych mieszkaniach. Gładysz ani nie uczył na kompletach gimnazjalnych, ani nie pracował na kursach uniwersyteckich, ani nie spotkałam go nigdy na tajnych posiedzeniach z referatami — w ogóle mało go z tego okresu znałam. Mogę tylko tyle powiedzieć, że naprawdę kochał ten swój Śląsk, że podobno przed wojną działał i naukowo, i literacko (dowód — obie jego doskonale publikacje o sztuce; miał też talent literacki, dobrze pisał). Zaraz po wojnie wyjechał na Śląsk i rozpoczął pracę w śląskim muzealnictwie, a również podjął starania, by dostać się na uniwersytet, najpierw wrocławski, ale ten zaniedbał całkowicie dla muzealnictwa, przez co miejsce jego zajął Reinfuss. Był to powód do niechęci między tymi dwoma panami, ale wszelkie akcje bojowe prowadziła Gładyszowa, Miecio publicznie się tu nie wypowiadał. Zresztą po krótkim czasie Reinfuss przeniósł się do Lublina. Wiem też, że Gładyszowi udało się wyrzucić z Muzeum Śląskiego dr Malickiego i jego żonę (pracowała w administracji) — znaleźli azyl w Gdańsku, ale jakiś czas byli bez środków do życia.

W wypadku Gładysza trudno mi się wypowiadać obiektywnie — po krótkim okresie przyjaźni i mojego podziwu dla jego sukcesów naukowych, doszło do konfliktów, a więc nie mogę tu być obiektywna. Mój zachwyt nad jego sukcesami naukowymi zrozumiał na swój sposób, co z kolei mnie nie odpowiadało. Kiedy powstała Akademia Nauk i stworzono IHKM, przeniesiono mnie z Muzeum Archeologicznego PAU, zlikwidowanej przez reżim, do Pracowni Etnograficznej IHKM — zresztą najzupełniej słusznie — już wtedy byłam zdeklarowanym etnologiem, więc nie pasowałam do druzyny archeologicznej, pozostając zresztą z niedobitkami z tamtych czasów w bliskiej przyjaźni — dokąd żyli. Gładysz został szefem Zakładu Etnografii IHKM PAN. Ucieszyłam się, że powstał Zakład Etnografii i z radością do niego przeszedłam. Niestety, okazałam się kompletną idiotką.

Jeszcze za czasów Muzeum Archeologicznego zorganizowałam grupę przyjaciół zajmujących się Podhalem. Była to zupełnie nieformalna grupa, składająca się z kilkunastu osób, zatrudnionych w różnych instytucjach, także studentów. Nie mieliśmy żadnych pieniędzy — co kto zdobył, szło do wspólnej kasy. Ja np. miałam delegację z Muzeum Etnograficznego z Warszawy na zakup eksponatów we wsiach Podhala, Bronka Jaworska z Uniwersytetu Łódzkiego, inni w ogóle delegacji nie mieli, np. Zbyszek Gołąb, językoznawca, później profesor slawistyki w USA, czy Krzysztof Malkiewicz, obecnie profesor w szkole filmowej Disneya w Hollywood, Hanka Zambrzycka i inni, w tym rysownik i fotograf z kroniki filmowej. Trochę pomógł prof. Antoniewicz dobrą radą, do kogo „uderzyć”. To były wspaniałe czasy. Dwa miesiące spędziliśmy w jednej wsi (marzec i wrzesień w ciągu jednego roku), jeden miesiąc letni — wędrowka po całym Podhalu (10 wsi po dwa dni i jeden dzień na „przemieszczenie się”, oczywiście pieszko, z punktu do punktu. Do szeregu wsi — wypadki kilkudniowe przez cały rok, m.in. dwa tygodnie zimowe w Obidzy. Spa-

liśmy pokotem w śpiworach na podłodze jednej izby, codziennie na obiad była kasza ze skwarkami, na śniadanie i kolację ziemniaki z kwaśnym mlekiem. Każdego dnia wieczorem zasiadali wszyscy, by podzielić się zdobytymi informacjami danego dnia, a w nocy kolejno przepisywało się to na maszynie w dwóch egzemplarzach: dla siebie i wspólnego archiwum. Pomysł wieczornych spotkań miał tę dobrą stronę, że każdy opowiadał, czego się dowiedział, a więc korzyść była dla całej grupy, każdy poznawał wszystkie działy kultury — te, jakie były udziałem każdego z nas.

Otóż, w momencie powstania Zakładu Etnologii IHKM PAN znalazłam się w składzie proponowanych pracowników, Gładysz wciągnął jeszcze swoją żonę, wtedy moją przyjaciółkę, prosił mnie także o rekomendacje, którego z bezrobotnych wtedy etnologów zatrudnić. Poleciłam moje najbliższe koleżanki, a przy tym inteligentne, zainteresowane pracą naukową — Irenę Nizińską i Hanę Zambrzycką. Obie przyjął i obie okazały się doskonałymi pracownikami.

Na pierwszym organizacyjnym zebraniu, na które przyjechał też prof. Dynowski, Gładysz bardzo sympatycznie do nas przemówił: — że chciałby, byśmy stworzyli przyjacielski zespół (był to okres, kiedy „praca zespołowa” była hasłem wszystkich socjalistycznych akcji), opracowali wspólny plan itd., itd. Idea piękna, przy naszym koleżeńskim, już wypróbowanym współzyciu wprost idealna. A ponieważ temat owego zebrania był nam już wcześniej zakomunikowany („pomyślcie, jaki temat moglibyśmy podjąć zespołowo”), obgadaliśmy z dziewczynami, że zaproponujemy Podhale, no i oczywiście ja, idiotka, się tego podjęłam. Przydźwigaliśmy na to zebranie ciężkie pudła z naszymi podhalańskimi materiałami: przepisane wywiady, fotografie, filmy, rysunki, plus inwentarze tego wszystkiego, dla poparcia naszej propozycji. Prof. Gładysz zwrócił się do „koleżeństwa” (tak się wtedy przemawiało) z prośbą, byśmy wysunęli nasze propozycje, jaki teren Polski uważamy za właściwy, by od niego zacząć. Zabrałam pierwsza głos, że, jak wiadomo, od paru lat pracujemy prywatnie nad Podhalem i sądzę, że skoro już tyle zostało zrobione (tu wyciągnęłam skrzynki z materiałami jako dowód i już opublikowane artykułiki i artykuły, oparte na tych materiałach) byłoby najrozsądniej skończyć zaczęłą pracę i na pierwszy ogień wziąć Podhale. W ten sposób w krótkim stosunkowo czasie może powstać monografia Podhala i Zakład będzie mógł się szybko pochwalić osiągnięciami. Dynowski przyklasnął, Gładysz zamilkł, inni milczeli także, czekając, co będzie dalej. Potem mówiło się o różnych innych drobnych sprawach, nie wracając już do właściwego tematu. W efekcie okazało się, że przystąpimy zespołowo do monografii wsi Siolkowice na Śląsku, a ja indywidualnie będę kontynuować prace podhalańskie.

Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że jeśli szef pyta, co myślimy, najbezpieczniej jest milczeć i czekać, by dowiedzieć się, co on myśli, a najmądrzej zawnoczuć jego zamiary i wyskoczyć z odpowiednim tematem. Niestety okazałam się kiepską uczennicą, nigdy się tej mądrości nie nauczyłam, choć dość skutecznie odwykłam od zabierania głosu. Teoretycznie wszystko było o.k. Mogłam robić, co chciałam, bez pieniędzy, jak poprzednio i co przykre dla mnie, samotnie, bo inni dostali swoje działki na Śląsku, potem w Bułgarii.

Następny etap, to sprawa mojej habilitacji. Chciałam ją wciągnąć do planu Zakładu — nie pamiętam już, jak wyglądały akurat w tym czasie procedury, dość że odbyło

się posiedzenie, na którym wystąpili: prof. Moszyński jako przyszły promotor, prof. Kazimierz Dobrowolski, Gładysz jako szef placówki PAN, w której byłam zatrudniona, Irena Nizińska jako protokolantka, no i ja. Zreferowałam konspekt, uzgodniony zresztą wcześniej z Moszyńskim i zaczęła się dyskusja. Moszyński ocenił go pozytywnie, po czym zabrał głos Dobrowolski (a panowie serdecznie się nie kochali). Stwierdził, że plan jest niezgodny z obowiązującą obecnie ideologią itd., itd. Moszyński był coraz bardziej wściekły, ale w sprawie „ideologii” miał niewiele do powiedzenia — po prostu i on był tu słaby. Gładysz cały czas nie objawiał swego stanowiska, jedynie od czasu do czasu rzucał pytania, które podsycaly elokwencję Dobrowolskiego. Pamiętam jedno z nich już na koniec dyskusji: „Panie Profesorze, czy mamy zaprotokolować, że plan pracy jest «nie marksistowski», czy «antymarksistowski»? Na co Dobrowolski: „Oczywiście, antymarksistowski”. W rezultacie zalecono mi doksztalcenie ideologiczne i zrobienie nowego konspektu (którego nie zrobiłam).

Tak zakończyła się moja przygoda z habilitacją. Co prawda prof. Moszyński, kiedy wprowadzono docentury z mianowania, zaproponował, że mnie wysunie, ale odmówiłam — miałam już tego dość. Jeśli mam być całkiem szczerą, to potem żałowałam — choć nie bardzo, ale kiedy odchodziłam na emeryturę, mogłam i chciałam jeszcze pracować w Instytucie, wtedy już jako kierownik Pracowni Etnograficznej IHKM PAN w Krakowie, brak habilitacji mi to uniemożliwił. A przecież spory procent moich rówieśników, dziś czcigodnych profesorów i członków Akademii Nauk czy Umiejętności, jest docentami z mianowania i nikt im tego nigdy nie wypomnił.

Niemniej Gładysz musiał mi niezłą opinię wypisać do IHKM, skoro prof. Hensel sam, bez jakiegokolwiek sugestii z mej strony (nawet mi do głowy nie przyszło coś takiego), zaproponował, bym przeniosła się do Łodzi, pod skrzydła prof. Zawistowicz-Adamskiej, że mogę nadal mieszkać w Krakowie, ale będę przypisana do Łodzi. Skorzystałam i błogosławię tę decyzję. Do Krakowa wróciłam dopiero po pójściu Gładysza na emeryturę, mianowana przez Dynowskiego i Hensla (o ile pamiętam, już wtedy kierownikiem Zakładu Etnografii była Frankowska, ale pełna inicjatywa była w rękach Hensla). Wtedy zostałam kierownikiem krakowskiej Pracowni Etnograficznej (Zakład zaistniał tylko w Warszawie). To był bardzo miły czas dla mnie, miałam doskonale stosunki z koleżankami i kolegą Pietraszkciem, jedynym mężczyzną w tym babskim gronie.

Kiedy w roku 1956 zaczęły się u nas przemiany ustrojowe, odtajniono archiwa. Dowiedziałam się o tym od p. Żółkiewskiego, dyrektora administracyjnego IHKM PAN. Przyjechałam kiedyś z jakąś sprawą do IHKM do Warszawy — spotkał mnie na korytarzu, zaciągnął do swego biura i zapytał, czy wiem, że opinie o pracownikach zostały odtajnione i czy chcę przeczytać opinie o sobie, wystawioną przez prof. Gładysza ileś tam lat temu. Powiedziałam, że nie chcę — zrobiłam mu tym wyrażną przykrość.

Roman Reinfuss — przeciwieństwo poprzednio przedstawionego. Choleryk, gwałtowny, absolutnie przyzwoity, choć niełatwy w obcowaniu. Etnografia była dla niego całym światem — kiedyś wypowiedział się w jakimś prasowym wywiadzie, że zawsze nie mógł pojąć, za co mu płacono pensję, skoro całe życie robił tylko to, co mu sprawiało przyjemność. Nikt mi nie nagadał tyłu impertynencji, co on, jak się

o coś wściekł — a wściekał się często i o byle co. Był zawsze kontra... Przed wojną był komunistą, relegowanym z wszystkich polskich gimnazjów. Dopiero matka jego przyjaciela napisała list do prezydenta Mościckiego i Roman dostał zgodę na maturę i pójście na studia (*notabene* prawnicze). Jeszcze przed wojną odbył praktykę w kancelarii adwokackiej czy notarialnej w jednym z miasteczek Małopolski wschodniej i tam „zakochał się” w Łemkach i pozostał im wierny do śmierci. Wielki wpływ miał na niego Seweryn Udziela, z którym współpracował amatorsko, jeszcze jako uczeń gimnazjalny. W czasie wojny zbiory Muzeum Etnograficznego wylądowały w Muzeum Archeologicznym, a z nimi Roman Reinfuss, obok Rudolfa Jamki (późniejszego profesora archeologii), był najbardziej pracowitym członkiem naszego zespołu. Po wojnie, jeszcze jako magister prawa, Roman został wykładowcą etnografii najpierw we Wrocławiu (bardzo krótko), potem w Lublinie, na Uniwersytecie Curie-Skłodowskiej, a równocześnie kierownikiem Pracowni Sztuki Ludowej Instytutu Sztuki PAN. Jego dziełem były słynne obozy etnograficzne, dzięki którym zrobiono wtedy zdjęcie etnograficzne prawie całej Polski. Poza tym zgromadził wokół siebie grupę młodzieży etnograficznej, którą opiekował się jak własnymi dziećmi. Po jego śmierci spotykali się co roku, nazywali się sami „dziećmi” prof. Reinfussa. Jednym z jeszcze żyjących jest Jerzy Czajkowski. Reinfuss brał czynny udział w tajnym nauczaniu i robił to znakomicie. Jego porywczosć przysparzała mu wrogów i oddanych na całe życie przyjaciół; świństwa nigdy nikomu nie zrobił.

Tadeusz Seweryn. Miał duszę artysty, znał się na sztuce, świetnie pisał, ale często ponosiła go fantazja. Wyszedł album z fotografiami rzeźb Wowry, ludowego artysty spod Wadowic. Tak się złożyło, że napisałam do niego tekst, bo Wowrę znalazłam od wczesnego dzieciństwa, moi dziadkowie mieszkali w Wadowicach, Dziadek kolekcjonował jego rzeźby. Mój Ojciec miał też niezgorszą kolekcję, ile razy przyjeżdżaliśmy do Wadowic, szło się do Gorzenia do Wowry po nowe trofea, a poza tym do Zegadłowiczów. Zegadłowicz był odkrywcą Wowry, jego córka chrześnicą Dziadka i moją koleżanką w dziecinnych zabawach, a jesteśmy równolatkami. Zapewne dlatego powierzono mi tekst do Albumu. Otóż właśnie córka Zegadłowicza twierdziła, że Seweryn raz czy dwa był u Wowry, znał go raczej z opowiadań Zegadłowiczów, rzeźby dla Muzeum Etnograficznego kupował nie on, ale Wowro przynosił je do Zegadłowiczów do dworu i tam zostawiał dla Seweryna. Tymczasem w powojennej pracy o Wowrze, pisanej kilkanaście lat po śmierci rzeźbiarza, są całe strony jego wypowiedzi na temat sztuki, życia artysty itd., itd. W dodatku nigdzie nie znaleziono notatek Seweryna z tych spotkań (spotkania?). Dziś już nikt nie żyje, kto mógłby sprawdzić, gdzie leży prawda. To samo dotyczy wojennej przeszłości Tadeusza Seweryna. Sam rozповідаł na prawo i lewo (sama od niego to słyszałam), że był szefem akowskiego sądu, który przeprowadzał egzekucje na kapusiach i zdrajcach, ale po wojnie, podczas gdy inni siedzieli i tracili życie za swoje konspiracyjne grzechy on, zrazu co prawda zatrzymany, ale niedługo potem został dyrektorem Muzeum Etnograficznego i świetnie prosperował, rozbudowywał Muzeum.

Niewątpliwie był to człowiek bardzo inteligentny, aktywny organizacyjnie, twórczy, pelen inicjatywy, jak na naukowca miał może odrobinę za wiele fantazji. Jedni go cenili, inni wprost przeciwnie, ale mam własne o nim zdanie.

*Bliska była Pani Doktor Polska Akademia Umiejętności. Ojciec Pani był od roku 1927 członkiem PAU, a od roku 1938 jej sekretarzem generalnym. W czasie wojny znalazła Pani pracę w założonym przez PAU Muzeum Archeologicznym, w którym zresztą kontynuowała Pani pracę również po wojnie. Jakie miejsce w działalności przedwojennej i powojennej Polskiej Akademii Umiejętności zajmowała etnologia?*

Niewiele potrafię powiedzieć. Wiem, że bardzo ceniony był Moszyński — najlepszy dowód, że to PAU wydało jego *Kulturę ludową Słowian*; również Bystron miał tu doskonałą prasę i powszechnie ubolewano nad jego chorobą. Wysoka była pozycja Dobrowolskiego aż do wojny i do jego pobytu w Oranienburgu. Niestety, nie żyje nikt, kogo mogłabym o to zapytać. W każdym razie w PAU wyszło wiele prac etnograficznych: Moszyńskiego, Dobrowolskiego, tuż przed wojną Gładysza (dwie książki), *Pożywienie Kurpiów* Chętnika itd.

Sz szczególnie pozytywny stosunek do etnologii mieli językoznawcy z Rozwadowskim i Nitschem (dialektolog) na czele. To Rozwadowski zaproponował Bronisławowi Piłsudskiemu katedrę etnologii porównawczej i postarał się o fundusze, by ten mógł studiować etnologię na zachodnich uniwersytetach. Niestety, Bronisław był niespokojnym duchem i nic z tego nie wynikło, ale jedyna jego *stricte* naukowa praca wyszła właśnie w PAU z dużym wkładem i pomocą naukową Rozwadowskiego. Również historycy tutejsi popierali etnografię — np. Potkański.

*Pierwszą pracę podjęła Pani Doktor w Polskiej Akademii Umiejętności. Wraz z jej włączeniem do Polskiej Akademii Nauk stała się Pani pracownikiem tej instytucji. Wiele lat pracowała Pani w krakowskiej placówce etnograficznej Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN, a od roku 1971 kierowała tą placówką, zwaną wówczas Grupą Roboczą Zakładu Etnografii IHKM PAN. Zna Pani również środowisko uniwersyteckie, wykladała Pani przecież na Uniwersytecie Jagiellońskim i Wrocławskim. Na czym polega specyfika pracy etnologa na uniwersytecie i w akademickim instytucie badawczym?*

Nigdy nie pracowałam na Uniwersytecie Łódzkim — tylko Wrocławskim i Krakowskim (wykłady zlecone). Już o tym poprzednio wspominałam. Ze studentami Uniwersytetu Łódzkiego wyjeżdżałam tylko na praktyki terenowe w zastępstwie Bronki Jaworskiej. Już za czasów IHKM PAN dostawałam pod opiekę warszawskiego magistranta — to inny świat. Mieszkał w hotelu i jedynie dojeżdżał „w teren”. Pożytyczyl mój kwestionariusz i nigdy mi go nie oddał (miałam tylko jeden egzemplarz). Obiecał podzielić się uwagami i materiałami terenowymi — nie tylko tego nigdy nie zrobił, ale żadnych materiałów nie oddał do archiwum Instytutu w Warszawie — słowem, był to totalny niewypał.

Przez jeden sezon byłam instruktorem na obozie Dynowskiego na Kurpiach — dostawałam grupę muzykologów z Uniwersytetu Warszawskiego. Biedne dzieci, zagubione we mgle. Dziękowali wylewnie za uratowanie im życia!!! Ode mnie dowiedzieli się, że można spać na sianie, jeść z jednej miski, myć się w miednicy, a nie

tylko w lazience i że chłopci to też ludzie. Byli rozbijający i naprawdę sympatyczni, ale gdzie się tacy uchowali? Dostałam nawet listy z podziękowaniem od kochających rodziców, wdzięcznych za uratowanie ich dzieci z tej niebezpiecznej opresji. Nie, niestety pedagogiem nie byłam, czego żałuję.

W moim mniemaniu różnica pracy w instytucie badawczym i ze studentami jest taka, że w instytucie — to tylko praca naukowa, na uniwersytecie, przynajmniej na początkowych latach — to także pedagogika, ale w gruncie rzeczy student powinien od pierwszego roku uczestniczyć w pracy badawczej asystenta czy nawet profesora, a douczać się pod jego okiem z literatury. Ponadto praca w instytucie badawczym winna uczyć pracy kolektywnej, ustawicznych dyskusji, porównywania własnych koncepcji za zdaniem innych. Przez lata, kiedy pracowałam w IHKM, czy to w Krakowie jako kierownik Pracowni, czy też w takim samym charakterze w Łodzi, w określonym dniu tygodnia ktoś z pracowników referował swoje osiągnięcia, czy własne badania, czy udział w kongresie lub innym zebraniu pozainstytutowym, czy jakąś przeczytaną książkę lub badania terenowe. Wszyscy wiedzieli, nad czym kto pracuje, na jakim jest etapie realizacji planów, do jakich doszedł wyników. To samo obowiązywało szefa, jak i jego współpracowników (np. prof. Zawistowicz-Adamska referowała nam swoje artykuły w trakcie ich pisania). Jeszcze w Krakowie, w czasie badań sądeckich, wszyscy wiedzieliśmy, co robią inni, każdy „chwalił się” swoimi pomysłami i materiałami. To działa bardzo inspirująco i pozwala nie tylko unikać błędów, ale także uczy bronięcia własnych koncepcji, a przede wszystkim jasnego referowania pomysłów i bronięcia tez, które, dajmy na to, inni krytykują.

*Poprzez ojca, Profesora Tadeusza Kowalskiego, i męża, Profesora Tadeusza Lewickiego, stykała się Pani Doktor również ze środowiskiem orientalistycznym. Utrzymuje Pani kontakty również z orientalistami z młodszego pokolenia. Istniały kontakty etnologów z orientalistami, np. prof. Kazimierz Moszyński w wydanej przez prof. T. Kowalskiego „Relacji Ibrahima ibn Jakuba z podróży do krajów słowiańskich” (1946) umieścił swoje „Uwagi etnologiczne”. Kiedy potrzebni są orientaliści etnologom, a etnologowie orientalistom? Czy istnieją różnice między tymi dwoma środowiskami?*

Zacznę od domu rodzinnego. Ojciec miał bardzo szerokie zainteresowania, w tym ciekawiła go tzw. kultura ludowa. Nie tylko obserwowaliśmy w domu, od najmłodsze-  
niejszego dzieciństwa, wszelkie obrzędy, w rodzaju „lajkonika”, „Emaus”, procesji Bożego Ciała czy dorocznego odpustu na krakowskich Bielanych, nie mówiąc już o paradzie wojskowej na Błoniach krakowskich na 3 Maja, laniu wosku w wigilię św. Andrzeja itd., itd. Całe moje dzieciństwo upłynęło „od jednego do drugiego święta”. W Kościelisku, na wakacjach, nasze spacer i wycieczki to nie tylko turystyka, ale odwiedziny w góralskich chałupach, rozmowy o czarach, duchach, wyprawach łowieckich po borsucze sadło itd. To samo dotyczyło Ojca językoznawczych badań w Azji Mniejszej, w społecznościach tureckich na Bałkanach czy polskich Karaimów. Zasadniczo chodziło o język, ale przy tym zbierał teksty folklorystyczne, opisy obyczajów, obrzędów. Ponieważ Ojciec należał do generacji, w której wieczorny spacer był obowiązkowy, odkąd nauczyłam się chodzić, uczestniczyłam w nim.

Chodziliśmy już całą rodziną na niedzielne całodniowe wycieczki — i wtedy Ojciec opowiadał. Dziś, wspominając te czasy, widzę, jak bardzo interesowały go nie tylko „gwary”, ale i fakty kulturowe w tych gwarach opowiadane.

Sądzę, że stąd wzięło się zainteresowanie Ojca Ibrahimem ibn Jakubem. Widocznie nie miał wystarczającego zaufania do swej wiedzy, stąd współpraca z Moszyńskim przy wydaniu tej pracy, i także z prof. Plezią. Tadeusz Lewicki, mój mąż, kontynuując niejako pracę Ojca, zwłaszcza teksty wydawane w związku z pracami nad tysiącleciem państwa polskiego, miał wygodniejszą sytuację bo, poza tym, że dyskutował z Moszyńskim i innymi „ludoznawcami”, miał mnie jeszcze pod bokiem.

W ogóle, w okresie międzywojennym, przynajmniej w Krakowie, może dzięki „Ludowi Słowiańskiemu” i częstym referatom w komisjach PAU, humaniści z pokrewnych dziedzin częściej się spotykali (historycy — przynajmniej ich część, językoznawcy, dialektolodzy, etnografowie, antropogeografowie). Także tematyka wówczas była często „interdyscyplinarna”. Np. ważny wtedy temat — pochodzenie Słowian — pasjonował na równi archeologów co antropologów, etnologów, historyków czy językoznawców. Po wojnie trwało to jeszcze, póki nie „przeżyliśmy” tysiąclecia, poczem wygasło.

Dziś, przynajmniej wedle mych obserwacji, wszystkie te dziedziny rozeszły się, wyspecjalizowały, tematy niegdyś łączące stały się niemodne. Każda z tych nauk wyrabia sobie własne tematy zainteresowań, inne metody pracy. Choć Kraków jeszcze częściowo trzyma się dawnych tradycji. Przy Instytucie Orientalistyki UJ jest Pracownia Źródłoznawcza (monety masowo znajdowane w Polsce, plus źródła pisane — chodzi o wczesne średniowiecze), która w pewnym stopniu współpracuje z mediewistami, nie sądzę natomiast, żeby to w jakimkolwiek stopniu zainteresowało etnologów.

*W domu rodzinnym Pani Doktor przechowywane były listy Bronisława Piłsudskiego do Władysława Kotwicza. Jakie były losy tej korespondencji? Jak w jej świetle rysuje się osobowość Bronisława Piłsudskiego?*

Mój pierwszy mąż, Marian Lewicki, stryjeczny brat Tadeusza, altaista, uczeń i następca Kotwicza, odziedziczył po swoim mistrzu, zmarłym w czasie wojny, jego archiwum, w którym były właśnie te listy (Piłsudskiego i do Piłsudskiego). Skąd się tam wzięły — nie wiem, ale sądzę, że wspólność zainteresowań obu panów — Kotwicza i Piłsudskiego — miała swoje znaczenie. Po śmierci Mariana jego spuścizną naukową zajęła się (również już od lat nieżyjąca) jego siostra Irena Lewicka i to ona przekazała do PAU te listy.

Dowiedziałam się o tym stosunkowo niedawno, już po napisaniu życiorysu Piłsudskiego. Szukałam ich po świecie, pojechałam nawet do Nowego Jorku, gdzie miały być w Instytucie Józefa Piłsudskiego (tak mi przynajmniej powiedzieli w drugim takim instytucie w Londynie), ale ich tam nie znalazłam. Przypisywałam to strasznemu bałaganowi, jaki tam panował — nikt niczego nie wiedział, wszystko wymieszane. Dopiero w parę lat później po prostu ukazały się drukiem w Roczniku Biblioteki PAU i to wydane przez mego bliskiego znajomego i przyjaciela — po prostu nie przyszło mi do głowy, by go o to zapytać, a materiały miałam pod nosem.

W świetle tych listów osobowość Piłsudskiego rysuje się nie inaczej, jak w świetle poprzednio mi znanych dokumentów. Potwierdziła się moja teza, której tylko poprzednio nie miałam odwagi tak jasno sprecyzować, że opowieści o jego tragedii rozstania z ajnoską żoną i dziećmi to bajeczka dla grzecznych dzieci. Po prostu, jak wieloma innymi sprawami, po krótkim czasie znudził się rodziną i skorzystał z okazji, by od niej uciec. To samo stało się z jego drugą, nieformalną żoną. Sielanka skończyła się, gdy skończyły się jej pieniądze, a do tego zachorowała na raka. Wróciła do męża i nie mamy żadnych dowodów na to, by do niej, czy jej rodziny, napisał. Zachował się list jakiegoś Ajna, znającego słabo język rosyjski, właśnie w korespondencji, znajdującej się u Mariana Lewickiego, pisany po rosyjsku, szereg lat po wyjeździe B. Piłsudskiego z Rosji. Pisze on w imieniu ajnoskiej żony z zawiadomieniem, że już po jego wyjeździe urodził mu się syn, że żona nadal na niego czeka, że mimo upływu lat nie wyszła ponownie za mąż. Nie mogę powiedzieć z całą pewnością, że Piłsudski na ten list nie odpowiedział, bo po prostu brak materiałów, ale legenda wymyślona przez jego apologetę, o tym, jak ją z dziećmi wysiedlono na Hokkaido, jak stracił kontakt, jak cierpiał z powodu tego oddzielenia od rodziny — jako się z tym listem nie zgadza. Broniś po prostu taki był, ani nie mógł usiedzieć na miejscu, wciąż „nosiło go po świecie”, ani nie był w stanie niczego wykończyć (to tylko udało się Rozwadowskiemu, ale też tę jedyną naukową pracę prawie w całości sam napisał — oczywiście na podstawie materiałów zabranych przez Piłsudskiego). Do tego uciekał od odpowiedzialności i obowiązków. Genialnie scharakteryzował go jego wielki przyjaciel, Talko Hrynczewicz, w pośmiertnym wspomnieniu. Zresztą sam Piłsudski pisał, że jest od tego, by rzucać dobre pomysły, a niech to już inni realizują (np. sprawa Muzeum Tatrzańskiego).

*Trzykrotnie wyjeżdżała Pani Doktor do Afryki. Rezultatem jednej z podróży jest znakomicie napisana, pełna interesujących obserwacji i informacji etnologicznych, książka popularno-naukowa „Mauretania” (1976). Książka ta została przetłumaczona i wydana w Moskwie w roku 1981 w nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy. Była to jedyna książka polskiego etnologa wydana po wojnie w Związku Radzieckim. Co skłoniło Panią do tych podróży? Co je umożliwiło?*

Kiedy miałam lat dziesięć, poszłam do Gimnazjum Królowej Wandy (*notabene* nie wiadomo, czy owa Wanda w ogóle istniała, a jeśli nawet tak, to na pewno nie była królową). Ale nie o to chodzi. Posadzono mnie w ławce z dziewczynką, która stała się moją najbliższą przyjaciółką. Obie marzyłyśmy o podróżach. Ja wówczas o Indiach (nigdy tam niestety nie pojechałam), ona o Afryce. Miałam nawet bardzo jasny plan, jak zrealizować nasze marzenia. Postanowiłam napisać do jakiegokolwiek maharadży, czy nie zechciałby nas przyjąć do swego haremu. Na przeszkodzie stanął drobny fakt — nie miałyśmy żadnego adresu prawdziwego maharadży, więc stanęło na Afryce. Zawsze bliżej od Indii.

Był sobie, oczywiście wiele lat później, taki Francuz, orientalista, lekko pomyłony, czego dowodem była jego głęboka przyjaźń z Kadafim i uwielbienie dla Chomeiniego, którego olbrzymi portret wisiał w jego salonie. Byliśmy kiedyś z Tadeuszem

(moim mężem) u niego na przyjęciu i tak ot — powiedziałam, że zazdroszczę mu świetnej znajomości Afryki francuskiej — rzeczywiście znalazł ją doskonale. Powiedział, że to nic prostszego — wystarczy pojechać. Roześmiałam się — „pojechać, ale za co?” (to był okres, kiedy 1 dolar był majątkiem). Nic prostszego, odparł, przecież jest bez liku stypendiów francuskich, wystarczy tylko złożyć podanie. No to złożyliśmy takie podania z Tadeuszem, którego znano na Zachodzie głównie jako ibadytologa, ale było wolne miejsce akurat nie w Algierii, tylko w Senegalu, w Institut Fondamental d’Afrique Noire. Wytargowaliśmy tylko, że co prawda IFAN jest w Senegalu, ale zainteresowaniami obejmujemy również Mauretanię, która była znacznie mniej znana od Afryki czarnej, a u nas w Polsce już prawie zupełnie nieznaną. Do tego Tadeusza interesowali legendarni Bafurowie, a ci mieli być ponoć przed Maurami w tym kraju. Tak czy inaczej, dostaliśmy trzymiesięczne stypendium do Senegalu i Mauretanii. Udało mi się uzyskać bezpłatny urlop w PAN oraz czasowo z nim zgrać urlop wypoczynkowy — no i pojechaliliśmy.

Wyjazd do Afryki miał trzy fazy: pobyt w IFAN w Dakarze — mieszkaliśmy w pokojach gościnnych IFAN, a całe dni spędzaliśmy w bibliotece, idealnie zaopatrzonej — wtedy w Polsce nie było prawie nic, a już na pewno nic nowoczesnego o tej części Afryki. Trzeba się było przygotować do pracy w terenie. Następnie — podróż po Mauretanii, dostaliśmy z Instytutu landrover, kierowcę i już w Mauretanii przewodnika. Wreszcie, z tym samym kierowcą i tym samym samochodem podróż, bardziej turystyczna niż naukowa, ale fantastycznie ciekawa — po Senegalu (a więc już Afryka czarna) i Gambii.

Dzięki tej podróży znalazłam się „na liście” i odtąd bez problemów mogłam liczyć na francuskie stypendia, zwłaszcza że napisałam książkę, wydaną wnet po powrocie i mieli dowód, że pobytu nie zmarnowałam.

Nie mam pojęcia, dlaczego akurat tę książkę przetłumaczono na rosyjski i kto w tym maczał palce. Po prostu zwrócił się do mnie ZAIKS, który w tej epoce zajmował się ochroną praw autorskich, czy wyrażam zgodę na tłumaczenie na język rosyjski. Zgodę wyraziłam, honorarium zainkasowałam, tekstu nie czytałam, bo nie znam rosyjskiego i na tym się skończyło.

Druga moja podróż afrykańska na zaproszenie brata, który przez kilka lat był profesorem zoologii w Oranie, to miesięczna podróż po całej Algierii samochodem. Geograficznie ciekawa, bo naprawdę objechaliśmy cały kraj. Była to dla mnie zabawa w zoologa, natomiast brakowało mi kontaktu z ludźmi. Oczywiście zwiedzało się też oazy. Najciekawszy był M’Zab, pięć oaz M’Zabitów, pozostałość ich państwa, jakie obejmowało kiedyś niemal całą północ Afryki (to sekta muzułmańska, tysiąc lat temu potężna, narodowo są Berberami i mówią dotąd po berbersku). Te oazy — to fantastyczne wczesnośredniowieczne miasta obronne. W Beni Isguen do dziś zamyka się na noc bramy, a „niewierni” muszą przed zachodem słońca opuścić oazę. W ciągu dnia wolno turystom pod opieką przewodnika zwiedzać miasto, co też zrobiłam. Opuściłam je zafascynowana z głębokim postanowieniem, że muszę tu wrócić — i wróciłam.

Tadeusz, jako student prawa międzynarodowego w Paryżu, zaczął tam naukę arabskiego, bo chciał pracować w służbie dyplomatycznej na Wschodzie. W tym czasie zmarła jego daleka ciotka, a że nie zostawiła testamentu, spadek dostał się kilku

spadkobiercom, z których każdy zrobił z niego właściwy użytek, jedni przepili swoją działkę, inni kupili kamienice we Lwowie, Tadeusz wyjechał do Paryża na studia, no i dobrą zabawę. Kiedy zaczął uczyć się arabskiego, szybko doszedł do wniosku, że najlepiej uczyć się w krajach arabskich, a że Algieria była wtedy nawet nie kolonią, ale „zamorskim” departamentem Francji, więc pojechał do Algierii. Tak po prostu, bez planu i bez jakiegokolwiek przygotowania. To historia nadająca się na sensacyjną nowelę, więc nie będę jej tu opowiadać, dość że wylądował jako przemytnik wielbłądów z Algierii do Libii. Potem zamieszkał wśród M’Zabitów w Ghardaya i zainteresował się ich historią i religią. Jako M’zabitológ, czy ibadytológ przeszedł do historii orientalistyki światowej (w Polsce znano go jako specja od źródeł arabskich do Słowian, ale to wszystko przez Hitlera, na wiele lat zostaliśmy przez wyzwolicieli — Rosjan zamknięci od świata żelazną kurtyną, a do Ibadytów trzeba było jeździć do Afryki lub Omanu). Nazwisko Tadeusza znane jest wszystkim Ibadytom.

Otóż, znów dzięki Francuzom, Michałowi Markuśowi (Panie, świeć nad jego duszą) i innemu dziwnemu przypadkowi, znalazłam się na międzynarodowym kongresie, poświęconym krajom i kulturom Morza Śródziemnego, na wyspie Bendor (wyspa *vis-à-vis* Tulonu). Na tym kongresie zauważyłam człowieka o ciemnej karnacji, ubranego jak wszyscy inni, ale wyglądającego, jakby występował w przebraniu — tak jakos to wszystko nie leżało na nim, tak dalece wyraźnie czuł się nieswojo. Zapytałam o niego znajomych i dowiedziałam się, że to mieszkaniec M’Zabu, właśnie mojego wymarzonego Beni Isguen. (Jego skrępowanie — to, że zawsze chodził w powiewnych szatach i turbanie — wielokrotnie obserwowałam to u Arabów nagle przebranych za Europejczyków).

Podeszłam, przedstawiłam się jako żona Tadeusza, oczywiście wiedział, o kogo chodzi i pierwsze jego pytanie było, czy Tadeusz przyjechałby do M’Zabu, gdyby oni go zaprosili. Powiedziałam, że sama decydować nie mogę, ale mogą spróbować. Na tym na razie się skończyło.

Minęło parę miesięcy, niemal zapominałam o tym incydencie, aż tu nagle — wróciłam przed południem z Łodzi, gdzie wówczas pracowałam, a tu córka wita mnie z tajemniczą miną, że w jadalni siedzi pan dziwnie ubrany i rozmawia z tatą. Okazuje się, że to mój M’Zabita, poznany na wyspie Bendor, który właśnie był z interesami w Szwajcarii, a że to już parę kroków od Polski, wstąpił do Krakowa, by osobiście zaprosić nas do Algierii. Oczywiście nie wpadło mu do głowy, że mogło nas nie być w Polsce. Ale byliśmy.

Przyjęcie zaproszenia ze strony Tadeusza było dowodem odwagi. Był wtedy już po osiemdziesiątce, z sercem w nie najlepszym stanie, ale ciekaw kraju, który znał sprzed pół wieku, chciał skonfrontować ówczesną rzeczywistość ze swymi młodzieńczymi przeżyciami. Postawił tylko jeden warunek — że i ja pojedę. Czuł się pewniejszy — zresztą wszędzie jeździliśmy razem, więc i w tym wypadku tak miało być.

Zaproszenie, jakie przyszło niebawem, brzmiało: Monsieur Tadée Lewicki z Małżonką. Już wcześniej zamówiłam sobie bezpłatny urlop w IHKM, a do paszportu konieczne było oficjalne zaproszenie, złożone jako załącznik w biurze paszportowym, zresztą paszport załatwiałam przez UJ. I oto następny cud — dostaję telefon z biura paszportowego, dzwoni sekretarka pana kierownika do pani Lewickiej. Rodzina

wzywa mnie do telefonu, a tam rozkoszny szczebiot, nie tylko uprzejmy, ale niemal czuły, że pan kierownik przeprasza, że oczywiście wszystko jest w porządku, paszport będzie w ciągu jednego dnia.

Dużo później wyjaśniła mi sprawę Zośka Reinfussowa. Był sobie na początku ery powojennej sympatyczny chłopak, chodzący na etnografię. Potem nastąpiła era, kiedy skończono z „chęcią szczerą” („nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z Ciebie oficera”) i postanowiono nie tylko ucywilizować wojsko, ale także milicję. Przyjmowano każdego, byle mgr. W tym czasie było trzech kończących studia etnografów, miłych chłopców w bardzo ciężkich warunkach materialnych, bez widoków pracy w etnografii — po prostu skorzystali z oferty. Jeden z nich został szefem od prostytutek w Szczecinie, drugi nie wiem czym, trzeci szefem krakowskiego biura paszportowego. On mnie zapamiętał, ja go nie, ale jak mi powiedziała Zośka R., wszystkie paszporty krakowskich kolegów właśnie przez niego były pozytywnie załatwiane.

No i pojechaliśmy. Zamieszkaliśmy w domu mego znajomego z Bendor, z tym że dla mnie i dom i podwórko były otwarte, biedny Tadeusz miał dostęp tylko do części męskich. Kiedy np. szliśmy na śniadanie lub obiad, gospodarz najpierw klaskał, by kobiety domowe mogły się schować, potem przeprowadzał Tadeusza przez pokój-salon, gdzie normalnie przesiadywała cała rodzina.

Pobyt został idealnie zorganizowany. Dla nas zarezerwowane było pierwsze piętro i płaski dach-taras, Rano przynoszono nam śniadanie, po czym pojawiali się dwóch młodych ludzi, którzy zabierali nas na półdniową wycieczkę, każdego dnia inną. Po obiadzie u naszego gospodarza, postaci znanej i wiele znaczącej w tej społeczności (tu nie będę mówić dlaczego, bo to skomplikowana historia narodo-religijna). Każdego popołudnia nadjeżdżała cała kawalkada samochodów z naszej i sąsiednich oaz na dyskusję z moim mężem na tematy historii Ibadytów. Bardzo to było zabawne, bo z jednej strony głębokie średniowiecze w stroju, urządzeniu domu, wszyscy siedzieli na podłodze itd. Z drugiej strony, ponieważ na każde takie spotkanie wieczorne przyjeżdżało kilkadziesiąt osób, więc część tylko mieściła się na pierwszym piętrze męskiej części domu, część już na parterze. Dyskusja między tymi z piętra i parteru odbywała się za pomocą kamer i ekranu. Np. padało pytanie z parteru, które słyszeli i widzieli na swoim monitorze siedzący na pierwszym piętrze, odpowiadali i znów odpowiedź była widziana i słyszana na monitorze umieszczonym na parterze.

W tym czasie ja przechodziłam do części kobiecej, bo goście przyjeżdżali z żonami i dziećmi, które z kolei były gośćmi żony gospodarza. Zarówno na górze i w męskiej części parteru, jak i w części kobiecej, zjadano olbrzymie ilości chałwy, przywiezionej przez gości. Większość mężczyzn i kobiet mówiła po francusku, więc miałam pełną możliwość uczestniczenia w rozmowie kobiet, toczącej się wokół codziennych spraw rodziny, całej społeczności itd. Kapitalne pole obserwacji! Co najdziwniejsze, zwłaszcza starsze kobiety żywo interesowały się i polityką i tym, co działo się poza M'Zabem, mimo że teoretycznie kobieta nie powinna nigdy opuszczać m'zabickich oaz. Teraz to się nieco zmienia, bo wielu mężczyzn kończy studia, pracuje w administracji państwowej, ma międzynarodowe firmy handlowe itd. i zabiera ze sobą żony, niemniej, przynajmniej teoretycznie, nie mogą opuszczać mieszkani. Stąd ich osamotnienie i niechęć wychodzenia za mąż do miast poza oazami M'Zabu. Niemniej,

jak wspomniałam, zadziwiają ich szerokie zainteresowania. Rozmowa na szersze tematy wygląda następująco: „Mój syn mówi, że we Francji zwycięży w wyborach prezydenckich X. — Chyba Twój syn się myli, bo mój syn właśnie wrócił z Paryża i mówi, że Y ma większe szanse. — Chyba ona ma rację, bo mój syn właśnie pielgrzymował do Mekki i tam wszyscy są zdania, że...”. Te kobiety świat widzą wyłącznie oczyma swych synów, z którymi łączą je bardzo bliskie i serdeczne stosunki, podczas gdy córki wychodzą za mąż na ogół w 14 roku życia i na zawsze opuszczają rodzinę. Jeśli kogoś interesuje codzienne życie społeczności muzułmańskiej, musi mieć dostęp do świata kobiet, a więc musi to być kobieta. Oczywiście mam na myśli społeczeństwo ibadyckie.

*Prowadziła Pani Doktor badania ponadto w Polsce i innych krajach europejskich, a także w Ameryce. Sięgała Pani również po materiały azjatyckie przedstawiając pasterstwo i gospodarkę mleczną Tiwijczyków. Znalazła się zatem Pani we wcale licznej grupie polskich etnologów, takich np. jak Stanisław Poniatowski, Bronisław Piłsudski, Józef Obrębski, Witold Dynowski, badających zarówno kulturę polską i kultury ludów pozaeuropejskich. Co sprawiło, że w Polsce nie zaistniał podział podobny do tego w Niemczech na Volkskunde i Völkerkunde? Jakie były rezultaty łączenia zainteresowań kulturami grup europejskich i pozaeuropejskich?*

Nie wiem, dlaczego w Polsce nie zaistniał podział na Volkskunde i Völkerkunde. Myślę, że duże znaczenie miał nasz brak państwowości i co za tym idzie — brak kolonii. Jeśli Polacy pracowali w krajach pozaeuropejskich, to albo ich wyniki szły na konto krajów, które organizowały ich ekspedycje, np. prof. Motyliński — ibadytolog, w świecie uważany za Rosjanina, Czekanowski, Malinowski, zwłaszcza ten ostatni, jako przedstawiciel nauki angielskiej. Albo byli to amatorzy, publikujący wyłącznie „wspomnienia z podróży”, a nie nowe koncepcje naukowe, czy choćby monografie naukowe. Sądzę też, że nasz brak własnej państwowości zaważył na długie lata, nawet jeszcze w okresie międzywojennym, na poszukiwaniu własnych korzeni kulturowych, doszukiwaniu się w tzw. kulturze ludowej korzeni kultury narodowej — w sumie brak zainteresowania kulturami ludów pozaeuropejskich.

Wśród osób, które wymieniasz, są też często badacze ludów pozaeuropejskich nie z własnego wyboru, ale na skutek przypadku, wynikającego z naszych dziejów. Klasycznym przykładem jest Bronisław Piłsudski, ale i u innych znaleźć można „zawirowania historii”.

Jakie były rezultaty łączenia zainteresowań kulturami grup europejskich i pozaeuropejskich? — Nie umiem odpowiedzieć. Niewątpliwie szersze spojrzenie na kulturę w ogóle, a poza wszystkim nowe teorie w postrzeganiu kultury, jej pochodzenia, prawideł rządzących jej rozwojem, rodziły się wyłącznie u ludzi o szerokich horyzontach, o znajomości różnych kultur i różnych dróg ich rozwoju.

*Najważniejszym i najbardziej trwałym przedmiotem zainteresowania Pani Doktor było pasterstwo. Z tego zakresu opublikowała Pani wiele prac, m.in. ważną monografię „Hodowla i pasterstwo w Beskidzie Sądeckim” (1980). Później zajęła się Pani*

także pożywieniem. Pojawiły się możliwości pracy nad obydwoma tematami w ramach zespołów międzynarodowych: Międzynarodowej Komisji do Badania Kultury Ludowej w Karpatach i Międzynarodowej Komisji do Badań nad Pożywieniem, działającej w ramach Société Internationale d'Ethnologie et de Folklore. Jakie miejsce w tych zespołach zajmowali etnologowie polscy? Co uczestnictwo w tych międzynarodowych zespołach dało etnologii polskiej?

Trudno powiedzieć, że pasterstwo było głównym moim zainteresowaniem. Po prostu od tego zaczęłam, a że zajęłam się pasterstwem w Beskidzie Sądeckim, to zaśluga Juliusza Zborowskiego. Kiedyś powiedział mi, żebym sobie dała spokój z pasterstwem podhalańskim, bo wszyscy tak czy inaczej tym się zajmują, a Beskid Sądecki nie ma żadnej literatury w tym zakresie. Uznałam jego racje. Istotnie Podhale zajmowało się wielu: Staszek Leszczycki, Bronka Jaworska, nie mówiąc już o Dobrowolskim, Jostowa i przede wszystkim Antoniewicz, ze swą wspaniałą koncepcją „Tatr polskich i Podhala” — no i oczywiście sam Zborowski, Paryski i inni „podhalofile” lokalni. Trudno tu było znaleźć jakąś niszę dla siebie. Cokolwiek zaczynałam, okazywało się, że już ktoś inny zajmuje się tym tematem. Podhale od szóstego tygodnia życia było moją ojczyzną i do dziś mam do niego sentyment. Z Międzynarodową Komisją do Badania Kultury Ludowej w Karpatach nie miałam wiele wspólnego — poza Sądecczyzną. Nie miałam tam żadnej swojej działki tematycznej.

A w ogóle z tą Komisją to było tak. Roman Reinfuss od początków swej kariery etnograficznej zajął się Łemkami i Bojkami i to on powziął myśl stworzenia wielkiej monografii polskich Karpat. Jednakże los zdecydował za niego, bo, wylądował w katedrze w Lublinie, a jego stosunki z PAN wiązały się raczej z zainteresowaniami sztuką ludową, a nie całokształtem kultury. I on to wymyślił, żeby „ubrać” Gładysza w Karpaty, bo po pierwsze, Gładysz miał wszelkie dane, gdyż już przed wojną opublikował swoje, doskonale zresztą *Góralskie zdobnictwo drzewne na Śląsku* (1935) oraz *Zdobnictwo metalowe na Śląsku* (1938), po drugie, w czasie gdy rzecz się działa, był profesorem prestiżowego Uniwersytetu w Krakowie, a więc najbliższymi Karpat. Do tego był kierownikiem Zakładu Etnografii PAN w Krakowie, serdecznym przyjacielem Dynowskiego, który w tym czasie reprezentował etnografię w PAN i miał wszelkie dane, by sprawę rozpropagować i zdobyć pieniądze na tak szeroko zakrojone, międzynarodowe przedsięwzięcie. Teoretycznie Reinfuss miał rację, ale ja wierzyłam w jego talent organizacyjny i namiętność do badań terenowych, a poza tym Łemkowszczyzna i Bojkowszczyzna to przecież też „polskie Karpaty”. Nie dał się przekonać i namówił Gładysza do tego pomysłu. Od tego czasu Gładysz porzucił swoje Siolkowice i wystąpił z inicjatywą badań Karpat w skali międzynarodowej, a że tak się składało, że Karpaty leżą na terenie ówczesnych „demoludów”, więc i szansa była duża, że pomysł chwyci. I chwycił.

Piszę to dlatego, że nigdzie, ani wtedy, ani teraz nie słyszałam o udziale Reinfussa w rodzeniu się Komisji Karpackiej, a chyba warto o tym wspomnieć, choć on sam nigdy się nie upominał, by go zaproszono do współpracy.

Muszę uczciwie dodać, że w początkach organizowania ogólnokarpackich poczynań brałam jednak udział. Wzięłam na siebie techniczną stronę organizowania pierw-

szej, „zapoznawczej” konferencji w Krakowie, byłam też na jednej z pierwszych konferencji w Smokowcu w Tatrach.

Jeśli chodzi o pożywienie, to wybrałam je dlatego, że był to temat w etnologii niemodny. Prawdę powiedziawszy, nikt się tym nie zajmował. Później dopiero zainteresował się tym tematem dr Dekowski z Łodzi i zaczął pracę nad rodzajem encyklopedii pożywienia ludowego w Polsce, której jednak nie udało mu się ukończyć. I tu okazało się, że pożywieniem na Podhalu zajmuje się Wanda Jostowa — pisała ciekawą pracę o pożywieniu pasterskim w Tatrach, a z czasem tematem tym zajęła się Zofia Szromba.

Mój wkład w całą sprawę to obszerny artykuł monograficzny w języku niemieckim, opublikowany na Węgrzech, zorganizowanie ogólnopolskiej konferencji pożywieniowo-interdyscyplinarnej, pod firmą PTL — Oddziału Krakowskiego i Muzeum Etnograficznego w Krakowie. Materiały zostały opublikowane w osobnym tomie — byłam redaktorem całości.

Dzięki dr. Michałowi Markuśowi z Czechosłowacji, który znalazł moje publikacje i był na konferencji krakowskiej, zostałam zaproszona na międzynarodową konferencję, poświęconą pożywieniu, do Lund, zarekomendowałam też Marię Dembińską z IHKM PAN, która właśnie opublikowała doskonałą książkę o kuchni na dworze Jadwigi i Jagielly. To był początek mej działalności w tej nieformalnej organizacji międzynarodowej. Nikt nam nie patronował — wybrano tylko grupę osób, tworzących jakby komitet organizacyjny. Wyboru dokonano na kongresie w Austrii i tam zostałam jednym z „członków założycieli”. W gruncie rzeczy nie mieliśmy wiele roboty. Kolejne kongresy zorganizowali: Markuš, Wiegelmann i Bringeus. Główną naszą czynnością było na każdym z kolejnych zjazdów wyszukać wśród kolegów organizatora następnego zjazdu i naczelnego tematu. Cała organizacja należała do tego z kolegów, który nas zaprosił i to on (ona) starali się zarówno o zdobycie sponsorów, jak i podejmowali się całej strony organizacyjnej, przeważnie w oparciu o instytucję, w której pracowali. Sponsorami na ogół byli przedstawiciele przemysłu spożywczego, ale także różne inne instytucje, które udało się zainteresować zjazdem. Referaty były publikowane w czasopismach naukowych w kraju, w którym odbywał się zjazd. Niestety zjazd w Polsce, organizowany w oparciu o PTL, nie ma swej publikacji, na skutek odmowy subwencji przez władze finansujące wydawnictwa PTL.

Uczestniczyłam z referatami w kilku konferencjach. Ostatni z serii tych zjazdów odbył się w Filadelfii, od 18 do 23 czerwca 1989 roku, i nosił tytuł „The 8<sup>th</sup> International Conference of Ethnological Food Research”; miałam na nim referat „Die Nahrung als Symbol der nationalen Eigentümlichkeit der polnischen Karaimen”.

Niestety później już na te konferencje przestałam jeździć z dwóch powodów. Po pierwsze, wielu mych najbliższych przyjaciół (ze mną włącznie) postarzało się i przestało bywać, napłynęły natomiast rzesze nieznaney mi młodzieży; po wtóre, młodzież ta posługuje się wyłącznie językiem angielskim, który z kolei ja znam słabo, a niemiecki zupełnie wyszedł z użycia, wreszcie — stałam się „ofiara” przemian politycznych. Odkąd oswobodziliśmy się od Rosjan, i w ogóle odkąd świat stał się bogatszy, zjazdy takie stały się bardzo drogie, a ponieważ ani razu nie miałam najmniejszego dofinansowania z Polski, po prostu nie było mnie na nie stać. Wcześniej

gospodarze danego zjazdu starali się zawsze o jakiegoś sponsora w swoim kraju, który nas, uczestników z „demoludów”, dofinansowywał. W moim wypadku, o czym już pisałam, jechałam zawsze w ramach urlopu i wyłącznie za własne pieniądze.

Wspomniałam o takim kongresie w Polsce (VI Międzynarodowa Konferencja Pożywieniowa — „Innowacje w zwyczajach żywieniowych”, 2–12 października 1985 roku), jaki udało mi się zorganizować pod firmą Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego w Krakowie, a ściślej we wsi Karniowice pod Krakowem, gdzie znajdował się świetnie zorganizowany i wyposażony ośrodek konferencyjny. Wszystkie materiały z tego kongresu wysłałam do PTL, kiedy starałam się o publikację materiałów. Wydawało mi się, że to będzie pewnego rodzaju sukces dla Towarzystwa, które dotąd mogło się pochwalić wyłącznie publikacjami w języku polskim, a że miało wymianę międzynarodową, więc taki tom anglo-niemieckojęzyczny mógł być interesujący dla instytucji w krajach Zachodu — przynajmniej zrozumieliby, o co tam chodzi. Do tego w interesie prelegentów z wielu krajów świata było, by plody ich ducha rozprzęgować na Zachodzie. Niestety, koledze, reprezentującemu w PTL dział wydawnictw, nie udało się nakłonić Działu Wydawnictw PAN do sfinansowania tomu i rzecz upadła — a chyba szkoda.

Nie mając subwencji na zjazd międzynarodowy ogłosiłam wpisowe — 100 dolarów, co dla kolegów z Zachodu było wprost śmiesznie tanio (w porównaniu z poprzednimi zjazdami), a nam umożliwiło zorganizowanie naprawdę ciekawego spotkania. Zwróciliśmy się np. do najlepszych krakowskich restauracji, które w ramach własnej „promocji” zafundowały kilkudziesięciu osobom obiady ze staropolskim menu. Dostaliśmy od różnych instytucji darmowe autobusy, co umożliwiło wycieczki, np. do Wieliczki, do skansenu w Nowym Sączu, gdzie urządzono pokaz ludowej produkcji 10 różnych potraw, czy raczej półproduktów. Było mielenie na żarnach, wędzenie śliwek, pieczenie chleba, wyrób serów krowich i owczych itd., a wreszcie w dworze skansenowskim obiad, w ramach wiejskiej kuchni sądeckiej. Do tego wszyscy zjazdowicze dostali w języku angielskim przepisy na serwowane potrawy, nie licząc możliwości samodzielnego robienia masła, sera, mielenia na żarnach itd. Biorąc pod uwagę, że np. w Szwecji wieziono nas kilkaset kilometrów, by pokazać nam, jak robi się babkę drożdżową — to były prawdziwe rewelacje. Sam zjazd, jak wspomniałam, odbywał się we dworze pod Krakowem, gdzie znajdował się luksusowy hotel, funkcjonowała świetna kuchnia, a dział konferencyjny wyposażony był w najnowocześniejszą aparaturę, zarówno w sali obrad plenarnych, jak i sekcyjnych. Był to taki pokazowy socjalistyczny ośrodek konferencyjny dla pokazowych konferencji rolniczych międzynarodowych — znowu przypadek, że udało się nam go uzyskać (oczywiście przez przypadkowe znajomości). Wielka szkoda, że przepadło wydawnictwo.

Jeśli chodzi o „pożywienie”, byłam jeszcze na Oxford Symposium of Food and Cookery (1986) — tu już bez referatu. Ta konferencja nie miała związku z naszą nieformalną grupą — potem, jak to już wspominałam, moje finanse okazały się niewystarczające, zwłaszcza że kolejni koledzy organizatorzy nie mogli się wystarać o sponsorów w swoich krajach (Szkocja, Irlandia, Cypr).

Z problemem pasterstwa łączą się dwa wystąpienia międzynarodowe — Smolenice pod Bratysławą: „Hodowla kóz jako jeden z elementów tradycyjnej kultury

karpackiej w Polsce”, 11-17 września 1967 roku, a następnie referat, z którego jestem naprawdę dumna, dotyczący pasterstwa na konferencji „Élevage et vie pastorale dans les montagnes d’Europe au moyen age et a l’époque moderne”, w Clermont, w roku 1981. Tytuł mojego wystąpienia: „L’organisation de la vie pastorale dans les Carpates polonaises”. Po tym referacie dostałam zaproszenie z uniwersytetu w Clermont na jeden semestr wykładów. Referat miałam 3 czerwca, zaproszenie przyszło we wrześniu na wiosenny semestr, w grudniu tegoż roku „wybuchł” stan wojenny. Na dwa lata zapomniałam o moim pasterstwie i pograżyłam się w polityce. Jedyną satysfakcją, że nie siedziałam w kacie, kiedy działy się wielkie sprawy. Fakt, że do Clermont-Ferrand nie pojechałam.

Przypomniał mi się jeszcze jeden kongres — w Moskwie. Nie pamiętam roku, wiem, że miałam referat po francusku, ale nie pamiętam, na jaki temat. Były tam setki Amerykanów, bo dla nich była to jedyna okazja zobaczenia ZSRR. Oczywiście też nie byłam „delegatem”, tylko koledzy, chyba warszawscy, załatwili przez Orbis wycieczkę, niby to turystyczną na ten kongres i skorzystałam z okazji. Pamiętam, że kilka miejsc zajęli ludzie zupełnie z kongresem niezwiązani, żeby dopełnić liczby uczestników, gwarantujących opłacalność dla Orbisu organizowania takiej eskapady.

Był jeszcze I Congres International des Études Balkaniques et Sud-Est Européenes w Sofii (25 sierpnia-1 września 1966). Pojechałam tam tylko dlatego, że umówiona byłam na podróż po Bułgarii z Lacim Földesem z Budapesztu, moim bliskim przyjacielem. Chcieliśmy poznać kraj i koczowiska Karakaczanów, co udało nam się w pełni zrealizować. On, jako pracownik Muzeum Budapeszteńskiego, miał oparcie we wszystkich bułgarskich muzeach. Nasza przyjaźń zaczęła się nietypowo. Był stypendystą węgierskim w Warszawie i koledzy warszawscy przysłali nam go do Krakowa w przeddzień Wigilii, chcąc się go pozbyć na okres świąteczny. Nie znając go, po prostu zaprosiłam go na wigilię do mego domu, czym, jak się okazało, zrobiłam mu przyjemność. Potem nadjechała jego żona z synkiem w wieku przedszkolnym, a ponieważ moja córka była w przedszkolu, załatwiłam przedszkole i dla niego. Wreszcie zabraliśmy go na miesiąc do Kościeliska, gdzie co roku wysyłałam Ulę z opiekunką na miesięczne jeżdżenie na nartach, saneczkach i inne atrakcje zimowe.

Potem, kiedy wybuchło powstanie węgierskie, zorganizowałam pomoc dla Muzeum, w którym Földesowie pracowali, słowem nasze stosunki były niemalże rodzinne, aż do jego śmierci.

Było też ileś tam kongresów na Węgrzech. Parę tygodni pracowałam w Muzeum Rolnictwa w Czechach — nie pamiętam, jak się ta wieś nazywała — wielkie zbiory eksponatów, olbrzymia biblioteka. Czesi robili wszystko, by mi pracę ułatwić, potem był pobyt w Pradze.

Pobyt w M’Zabie „sprzedałam” w Niemczech, w Kolonii, na międzynarodowej konferencji — Tagung der Deutschen Gesellschaft für Völkerkunde (4-9 października 1987). Referat nosił tytuł: „Die Frau in M’Zab. Die Änderungen in ihren sozialen Status in Folge der Kontakte mit der Kultur des Abendlandes”.

No i oczywiście wystąpienia w Polsce, w Komisji Etnograficznej PAN w Krakowie i innych lokalnych spotkaniach i zjazdach — myślę tylko o tych, które publikowały referaty. Między innymi przez pewien czas interesowało mnie lecznictwo ludowe

i wzięłam udział w II Ogólnopolskim Seminarium Etnobotanicznym, poświęconym zagadnieniom fitoterapeutycznym. Wygłosiłam tam referat „Znajomość i użytkowanie roślin leczniczych przez ludność wielkich miast (na przykładzie Krakowa)”. Było to w Kolbuszowej w 1981 roku. Coś o medycynie ludowej mówiłam na kongresie, poświęconym temu zagadnieniu we Fryburgu, w 1981 roku. Było to tuż przed stanem wojennym. Nie czytałam prasy i nie wiedziałam, że jest tak „gorąco”. Uświadomi mi to koledzy niemieccy, przybiegli wczesnym rankiem do hotelu, żeby namówić mnie i Danę Tylkową, żebyśmy nie wracały do Polski, bo wojska rosyjskie stoją nad polską granicą i lada moment wybuchnie wojna rosyjsko-polska. Oni dadzą nam natychmiast pracę i możemy u nich zostać. Dlatego teraz, kiedy jest taki atak na Jaruzelskiego, jestem przekonana, że i on wierzył w inwazję rosyjską i robiąc stan wojenny był przekonany, że wybiera mniejsze zło. Obie miałyśmy rodziny w kraju i odmówiliśmy pozostania, ale dzięki tej sytuacji obie byłyśmy dosłownie zasypywane w stanie wojennym paczkami żywnościowymi, od kolegów nie tylko niemieckich, którzy byli na konferencji i mieli nasze adresy. To taka uwaga na marginesie.

Teraz, kiedy z zakamarków pamięci wyciągam na pół zapomniane zainteresowania, wyjazdy, referaty, widzę, jak to źle być niekonsekwentnym. Moje zainteresowania ulegały wciąż nowym impulsom, a jak mnie jakiś drobiazg zainteresował, starałam się jak najwięcej o nim dowiedzieć. To wielki błąd — trzeba było trzymać się jednego tematu, poszerzać go i pogłębiać. Ale po pewnym czasie temat zaczynał mnie po prostu nudzić, a że pracę naukową zawsze traktowałam jako bardzo przyjemne, ciekawe i inspirujące zajęcie, łatwo porywał mnie następny temat, zostawiałam poprzedni i „rzucalam się” na następny. Do tego jeszcze sporo czytałam w różnych językach, a że w Polsce wtedy nie było łatwo o zachodnią literaturę, co nowego przeczytałam, to streszczałam w formie recenzji. Słowem — namnożyło się tych pozycji, nie zawsze ważnych — lubiłam pisać, więc pisałam.

Z Polski w kongresach owej nieformalnej organizacji, zajmującej się pożywieniem, brali udział: historyczka Maria Dembińska, pracownik IHKM PAN, ja — też IHKM PAN i później dokooptowany Michał Abdalla, Asyryjczyk osiadły w Polsce. Abdalla był z wykształcenia „żywniowcem”, ale zawsze interesowały go sprawy jego ojczyzny, którą ze względów politycznych musiał opuścić. Obecnie habilitowany, mieszka w Poznaniu i o ile wiem związał się z placówką orientalistyczną na Uniwersytecie Poznańskim.

Do „pożywniowców” dołączyła doc. dr Zofia Szromba-Rysowa z Krakowa, publikując w 1984 roku w „Etnografii Polskiej” (t. 28) *Biesiady wiejskie* (dotyczyło to Beskidu Śląskiego). Potem, w 1985 roku to samo o Beskidzie Sądeckim, następnie Żywieckim, wreszcie na Podhalu. Ona też wzięła udział w zjeździe na Cyprze w 1996 roku, referując „Pożywienie na Podhalu”. Na tym zjeździe już nie byłam. O ile wiem, zjazdy takie nadal się odbywają, ale nie potrafię powiedzieć, na jakie tematy i czy ktokolwiek z Polski bierze w nich udział.

W każdym razie, pożywienie nigdy (o ile wiem) nie było brane pod uwagę jako temat do międzynarodowego opracowania w ramach Międzynarodowej Komisji Karpackiej, a więc trudno mi o tym mówić; żaden taki międzynarodowy zespół nie powstał, nie znam też jakichś międzynarodowych opracowań tego tematu.

Trudno mi też powiedzieć, co uczestnictwo w Komisji Karpackiej dało polskiej etnologii, poza licznymi kontaktami towarzyskimi. Na pewno zbliżenie badaczy, związanych z tą tematyką, orientację, co nasi sąsiedzi robią, a raczej planują zrobić w tej dziedzinie.

*Ważna była działalność Pani Doktor w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym. Pełniła Pani funkcje przewodniczącej Głównej Komisji Rewizyjnej, redaktora serii „Biblioteka Popularno-Naukowa”, wiceprezesa i w latach 1982-1989 prezesa Towarzystwa. W pamięci swojej zachowałem obraz dystygowanej damy, osoby otwartej i życzliwej, a jednocześnie stanowczo reagującej na łamanie zasad kulturalnego współżycia. Jaką wartość przedstawia dla etnologii stowarzyszenie grupujące ludzi z różnych środowisk i o różnych potrzebach? Jakie zadania stawia Pani przed Towarzystwem?*

Nie wiem właściwie, dlaczego tak się zaangażowałam w pracach PTL. Po prostu dobrze się tam czułam. Zawsze miałam łatwość obcowania z ludźmi z różnych grup społecznych i było mi głęboko obojętne, czy jest to profesor uniwersytecki, czy bonza partyjny, czy wiejski gospodarz lub aktor, zbierający ludowe rzeźby. Byłe lubił to, co robi i robił to nie dla zysku czy kariery. Stąd miałam wielu przyjaciół, może i wrogów, ale byli na tyle łaskawi, że nie dali mi tego poznać, a nawet jeśli dali, to los obdarzył mnie darem zapominania przykrości, a przynajmniej nie przejmowania się nimi. PTL nie było żadną „drogą do kariery”, a więc i jego członkowie nie mogli liczyć na żadne apanaże, płynące z przynależności do tej organizacji, wręcz przeciwnie — do uczestnictwa w zjazdach, publikacji, organizacji zebrań, notorycznie się dokładało z własnej kieszeni.

Oczywiście, że i tutaj pełno było wzajemnych zawiści, podkładania sobie nogi, ale tak już jest chyba we wszystkich polskich organizacjach. Na szczęście mnie to nie dotyczyło, byłam za mało znaczącym pionkiem. Bez najmniejszej wątpliwości PTL zawdzięczało swoje powodzenie, odrodzenie i rozwój Gajkowi, i pierwsze lata powojenne to były „lata Gajka”. Popierał go Czekanowski, który był niepodważalnym autorytetem, stali za nim koledzy ze Lwowa i póki wszyscy tkwili w Lublinie, wszystko było o.k. Pod egidą Gajka zjeżdżano się dla ustanowienia programu studiów uniwersyteckich etnografii. Gajek kierował wydawnictwami, więc lepiej było go mieć za przyjaciela, organizował zjazdy itd. Ale miał jeden podstawowy feler — małżonkę. Olga uwielbiała męża i pragnąc podnieść jego autorytet, robiła wszystko, by zirytować innych, a on niestety nie umiał jej powstrzymać. Sam zresztą był zaprzeczeniem wszelkiej dyplomacji. W sposób mistrzowski umiała ta pani (z którą zresztą byłam w zupełnie poprawnych stosunkach, bo po prostu wszystkie jej „taktowne” uwagi puszczałam mimo uszu) zrażać ludzi nie tylko do siebie, ale i do ukochanego małżonka. Przykład jeden z wielu: Zjazd w Toruniu, 1949 rok. Referat prof. Frankowskiego (wtedy jeszcze najbliższego przyjaciela) o etnografii w ZSRR. Czas przewidziany 45 minut, a ten gada i gada, godzinę, półtora. Przewodniczący (nie pamiętam, kto) uprzejmym głosem przypomina, że prelegent przekroczył swój czas już o godzinę — nic to nie pomaga. Wtedy zaczynają z wolna z sali wyciekać słuchacze.

Zrywa się Gajkowa, zamyka drzwi na klucz, który chowa do kieszeni i oznajmia: „Nikt się stąd nie ruszy, póki prof. Frankowski nie skończy!!!”. Ja dostałam ataku śmiechu, ale inni obrazili się śmiertelnie i mieli rację.

Abstrahując od komizmu sytuacji i pierwszych zetknięć z ludźmi, pomyślałam, że jednak jest to forum, z którego można by wyluskać i ludzi, i idee pożyteczne dla mojej dyscypliny i moich celów. Rozmowy tzw. kularowe, ściślej przy kawie w przerwach obrad, pozwoliły na liczne nowe znajomości i przekonanie, że wśród uczestników jest wiele osób podzielających moje zainteresowania kulturą ludową, która wtedy jeszcze różniła się od kultury miejskiej, była dla mnie ciekawa przez swoją inność, dawała odpowiedź na kierunek procesu przemian, jakie dokonywały się szczególnie w tym kotle powojennym, jakim stała się Polska (wymieszanie ludności z tak różnych i słabo do niedawna kontaktujących się regionów). Taki film, puszczony w wielokrotnie przyspieszonym tempie. Większość osób, z którymi się rozmawiało, miało swoje przemyślenia, swoje uwagi i koncepcje — słowem było z kim i o czym gadać, konfrontować własne pomysły i obserwacje z pomysłami innych. Pomyślałam, że tutaj nie będę się nudzić i rzeczywiście wróciłam z Torunia wyraźnie podekscytowana.

Wtedy było trudno (i teraz nie jest łatwo) działać w pojedynkę. Towarzystwo stało się tą moją „firmą”. W tamtych czasach nie można było działać samotnie. Budziło to podejrzania. Pani X była niczym, ale pani X „reprezentująca Towarzystwo...” obojętnie jakie, to już był ktoś. Zaczęłam działać najpierw w Krakowie, potem ruszyłam w teren, uzbrojona w odpowiednie papierki (pismo z PTL i list od księdza infulata — był wujem jednej z mych koleżanek, przy okazji wciągnięty do PTL). Przyjeżdżało się w teren w sobotę rano i szło prosto do gminy, żeby podbić delegację. Stamtąd prosto na plebanię z listem księdza infulata. W niedzielę całe nasze towarzystwo na sumie, ksiądz z kazalnicy zapowiadał, że tu przyjechali tacy — ale nie będą zakładać kolchozów i potem wszystko szło jak z płatka.

Były to czasy, kiedy w Krakowie miałam wolną rękę do wszelkich akcji popularno-naukowych, a gdzie się udało spotkać odpowiednich ludzi — także naukowych. Natomiast Zarząd Główny PTL zbierał się co miesiąc i tu znowu spotykali się ludzie z całej Polski. Było z kim i o czym podyskutować. Do szeroko pojętego Zarządu dostałam się dość szybko. Nie pretendowałam do ważniejszych funkcji w Zarządzie, to by mi zabrało zbyt wiele czasu, ale w końcu doszło do tego, że już wszyscy z wszystkimi mieli jakieś sporne sprawy, a właśnie zbliżał się okres zebrania wyborczego. Niestety, zmarł wtedy prof. Włodzimierz Zajączkowski, orientalista — turkolog, nasz bliski przyjaciel. Pogrzeb miał się odbyć na cmentarzu karaimskim w Warszawie, w dniu walnego zjazdu. Wytlumaczyłam się, że przyjadę dopiero na sesję naukową, ściśle — wieczorem, po walnym zgromadzeniu. Istotnie, pojawiłam się dość późnym wieczorem w budynku i pierwsza spotkana na korytarzu osoba składa mi gratulacje. Nie rozumiem powodu i dowiaduję się, że zostałam wybrana na prezesa. A wiedziałam, że do kandydowania musiała być pisemna zgoda kandydata, nikt mnie o to nie pytał, żadnej zgody nie wyraziłam. Za chwilę spotykam Ewę Fryś-Pietraszkową i ta — „Mam nadzieję, że mnie nie skompromitujesz! To ja postawiłam twoją kandydaturę, a kiedy okazało się, że brak twojej zgody, powiedziałam, że mam ustne

zapewnienie, że taki wybór przyjmiesz”. Co miałam robić? Rzeczywiście teraz, po wyborach, byłabym narobiła kłopotu, zburzyła im program, skompromitowała Ewę. Prawdę powiedziawszy, było mi to akurat wtedy bardzo nie na rękę. Stało się, zostałam prezesem i „rzuciłam się w wir pracy”. Potem znalazłam dobre strony takiego układu i, jak umiałam, starałam się być dobrym prezesem — nie mnie oceniać, na ile mi się to udało.

Jestem głęboko przekonana, że tego rodzaju towarzystwa są potrzebne dla rozwoju intelektualnego społeczeństwa. Niewątpliwie ich naukowe znaczenie jest obecnie mniejsze, niż było 100 lat temu, kiedy nasza dyscyplina stawiała pierwsze kroki i w gruncie rzeczy wystarczyło sumiennie obserwować i zapisać dla potomnych kulturę wsi i małych miasteczek, która tak znacznie różniła się od tej elitarnej kultury, jaką reprezentowały warstwy tzw. wyższe. Było to przede wszystkim gromadzenie dokumentów, które już w XIX wieku, a tym bardziej obecnie, stanowią bazę dla poznania korzeni naszej ogólnoludzkiej kultury. Nie jestem psychologiem i nie studiuję ludzkiej natury, ale z pobieżnej obserwacji wydaje mi się, że u większości ludzi drzemie potrzeba poszukiwania „korzeni” — korzeni swej rodziny, swej klasowej, regionalnej czy narodowej kultury. Nawet jeśli w pewnych epokach dominuje fascynacja odkrywaniem nowego świata czy wszechświata, są ludzie, a często są to nawet ci sami ludzie, którzy z jednej strony uprawiają najnowszą fizykę czy astronomię, a z drugiej kolekcjonują starą broń, z sentymentem przechowują korespondencję swych prapradziadków, w gruncie rzeczy na nic im niepotrzebną.

W naszej dyscyplinie, jak mnie się przynajmniej wydaje, nastąpiło pozytywne przesunięcie od opisu do zainteresowania — dlaczego? Wydaje mi się, że te dwa spojrzenia doskonale się uzupełniają. Przeszłość i współczesność, opis i proces takiego czy innego stawania się. Jedyne szkopuł, że nie dochowaliśmy się, jak dotąd, wybitniejszego teoretyka kultury — zawsze kogoś naśladowujemy. Do tego fascynacja teorią kazała nam mieć w głębszej pogardzie fakty, na których te teorie się opierają. Przy tym mnogość i różnorodność kultur ludzkich w czasie i przestrzeni, a nie obecny monotony globalizm powodują, że nie do każdej kultury można bezkrytycznie stosować taką czy inną teorię. Zauważyli to już zoologowie, ale nie zawsze teoretycy kultur ludzkich.

Wydaje mi się, że w naszym wypadku rola takiego na pół profesjonalnego, na pół hobbystycznego towarzystwa naukowego, jak PTL, powinna polegać nie na pogodzeniu się z pogardą współczesnych antropologów kultury wobec etnologów, nie mówiąc już o etnografach, ale na współdziałaniu obu kierunków. Może by się czasem przydało trochę tych konkretnych faktów, czy staroświeckich wniosków, np. dotyczących takich a nie innych przemian świadomości, zmieniającego się widzenia rzeczywistości itd.

Poza tym PTL spełnia ważną rolę upowszechniania kultury, a równocześnie daje możliwość studiowania pewnej dziedziny zjawisk kulturowych, dzielenia się swymi pomysłami, „odkryciami”, zachęca do studiowania, czytania, obserwacji i utrwalania, choćby w formie materiałowych artykułików, swoich osiągnięć. Coś w tym musi być, skoro tego typu towarzystwa istnieją w innych gałęziach wiedzy, często na tzw. prowincji, oddalanej od uniwersyteckich centrów kulturalnych i bynajmniej nie są

lekceważone przez naukowców, przynajmniej w dwóch dziedzinach wiedzy — przyrodzie (botanika, zoologia) i historii.

*W czasie pracy w Instytucie IHKM PAN, na uniwersytetach oraz działalności w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym zetknęła się Pani Doktor z wszystkimi wybitnymi etnologami jej czasów, decydującymi o kształcie etnologii polskiej. Nie potrafili oni jednak doprowadzić do powołania Instytutu Etnologii PAN. W jakich sytuacjach skłonni byli współdziałać, a w jakich pojawiały się między nimi konflikty? Czy osobowość uczonych ma wpływ na losy dyscypliny naukowej?*

Zaczynam od końca. Czy osobowość uczonych ma wpływ na losy dyscypliny naukowej? Niestety, na pewno tak. Dlaczego nie potrafiono powołać Instytutu Etnologii PAN? W tym celu trzeba by przede wszystkim chcieć go powołać, wierzyć, że jest potrzebny. Trzeba było samemu być autorytetem i mieć zdolności dyplomatyczne, żeby pozytywnie nastawić do tej idei innych. Trzeba było wierzyć w tzw. pracę zespołową — no i lubić pracę organizacyjną. Moszyński był autorytetem naukowym, ale wszelką tzw. pracę organizacyjną uważał za stratę czasu. Wiem, że mój ojciec, który go bardzo wysoko cenił, miał do niego pewien żal, że odmawiał wszelkich funkcji na UJ (nawet jeszcze przed przeniesieniem się do Wilna) i w PAU. Niezwykle sumiennie traktował obowiązki pedagogiczne, był przecież profesorem i jako taki skrupulatnie zajmował się studentami, ale odmawiał wszelkich obowiązków w rodzaju dziekaństwa, opieki nad kołami naukowymi studenckimi, redakcji, organizacji jakichś naukowych zjazdów czy konferencji. Na wakacje wyjeżdżał do Przegorzał, wsi, gdzie stale mieszkali antropologowie Stołyhwwowie. Mieszkał w ich domu, ale nie brał udziału w ich bujnym życiu towarzyskim (bo szkoda czasu). On pracował (pracownia była na parterze), podczas gdy żona miała obowiązek siedzieć z gałązką i spędzać z parapetu okna wróble, które nadlatywały i pazurkami skrobały po blasze, co go rozpraszało.

Dobrowolski uważał się za socjologa, zresztą nikt by z nim nie współpracował. Frankowskiego nie traktowano zbyt poważnie przez te jego dziwactwa. Prof. Zawistowicz-Adamska (nie wiem dlaczego) była systematycznie tępiona przez Dynowskiego — „bo pani Kaziunia jest taka delikatna, słabego zdrowia, nie chcę jej mieć na sumieniu” — i np. nie powiadamiał jej o jakichś konferencjach, nie posyłał do Łodzi gości zagranicznych, jej samej nie proponował wyjazdów. Najbardziej do tego nadawał się sam Dynowski, tylko że jemu się nie chciało. W Instytucie IHKM miał wyjątkową sytuację, bo po pierwsze był w Warszawie, po wtóre całą młodość spędził w Rosji, znał język i mentalność Rosjan, miał do nich sentyment. Po trzecie, był niezależny finansowo. Jego wielka kamienica w Warszawie, w której zresztą mieściła się Katedra Etnografii i jego mieszkanie, ocalała z powstania, do tego miał siostrę (o ile pamiętam) w USA, która miała tam dobrze funkcjonujący zakład kosmetyczny i posyłała mu pieniądze, dzięki czemu uważany był za krezusa, co zresztą chętnie podkreślał. A do tego jego stosunek do etnologii był dość specyficzny.

Pamiętam szok, jaki przeżyłam. Poszłam wtedy jedyny raz prosić go, jako mego bezpośredniego szefa, o podpisanie podania do prof. Hensla, dyrektora całego IHKM, o bezpłatny urlop. Chciałam pojechać do Paryża, żeby tam popracować w Musée de

l'Homme. Dynowski na to, że podpisze, ale żebym mu nie opowiadała bzdur, że do Paryża jadę pracować. Tam się jeździ po nylonowe pończoszki, a nie dla jakiejś pracy. On np. właśnie wrócił ze Sztokholmu, gdzie pojechał po franki, a jest człowiekiem uczciwym — po prostu powiedział, że jedzie po franki. Mnie zamurowało. Nie wiedziałam, czy to dowcip? Po chwili powiedziałam — „Tak, ma pan profesor rację, chcę sobie kupić nylonowe pończoszki”. A on na to: „Jak tak, to rozumiem i aprobuję” — i podpisał podanie. To był jedyny raz, kiedy pojechałam w ramach urlopu naukowego, a nie wypoczynkowego i do dziś nie wiem, czy to był dowcip, czy serio. Poza tym był miły towarzyszko, przepadał za moim mężem i zawsze odwiedzał nas, ile razy był w Krakowie. Mam od niego bardzo ładny stary mosiężny czajniczek na mongolską herbatę, podobno gdzieś tam wykopany w czasie ich badań terenowych w Mongolii.

Był w Warszawie na miejscu, a więc miał duże możliwości załatwiania tego i owego, a nie zżerała go ambicja, by coś po sobie zostawić. Miał pieniądze. Mongolia była realizacją jego młodzieńczej tęsknoty za „rajem utraconym” niegdysiejszej Rosji. Po co miał się wplątywać w walki o instytut i ciężką pracę z realizacją tego pomysłu, gdzie i tak zdystansowaliby go koledzy etnografowie z „polskim” doświadczeniem, wiedzą i dorobkiem.

Cały czas mówię o pokoleniu dojrzałym przed wojną. Z tzw. „młodych” warto jeszcze wspomnieć o Reinfussie — jemu wystarczała praca i jego uczniowie i młodzi współpracownicy, dla których był wyrocznią. Zostaje nam jeszcze Zawistowicz-Adamaska, wykształcona, inteligentna, ale typu „kobieciątka”, bez ambicji przywódczych. Jej uczennice, to też mniej lub więcej „kobieciątka”, może z ambicjami, ale też bez charakterologicznych możliwości przewodzenia. W gruncie rzeczy nadawałby się tu Gajek, ale ten, dzięki swym „talentom” zrażania sobie ludzi, był już „spalony”.

Możliwości tworzenia jakiejś ogólnopolskiej organizacji widziałabym tylko w Józefie Burszcie. Ten miał wszelkie dane ku temu, aby być „organizatorem — przywódcą”, ale i jemu brakło odwagi, podejrzewam, że gnębił go kompleks chłopskiego pochodzenia. W pierwszych latach po II wojnie to jeszcze było żywe, choć starannie kryte, ale byłam świadkiem kilku scen, które wówczas mnie zdumiały, nie mogłam ich zrozumieć (zaznaczam, że byłam tylko niezaangażowanym świadkiem).

Niestety, wedle mej opinii, etnografowie umieli się jednoczyć tylko przeciw, a nie za jakąś ideą, w przeciwieństwie np. do archeologów, którzy żarli się między sobą, ale mieli tyle zdrowego rozsądku, by na zewnątrz występować razem, nie bacząc na osobiste sympatie czy antypatie.

Sądzę, że obok Burszty na organizatora instytutu nadawałaby się Bronka Jaworska, ale wtedy, kiedy o tym była mowa, Bronka była za młoda i w cieniu prof. Adamskiej.

*W dziejach etnologii polskiej ważną rolę odegrały kobiety. Antonina Czaplicka, pierwsza kobieta-wykładowczyni antropologii społecznej w Oxfordzie, nie wpłynęła bezpośrednio na rozwój etnologii polskiej, ale była zapewne wzorem. Cezaria Baudouin de Courtenay-Ehrenkreutz-Jędrzejewiczowa już w roku 1922 uzyskała habilitację, w roku 1929 mianowana została profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu*

*Wileńskiego, a w roku 1934 profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Warszawskiego. Lista innych wybitnych etnolożek polskich jest długa: Kazimiera Zawistowicz-Adamska, Jadwiga Klimaszewska, Anna Kutrzeba-Pojnarowa, Maria Frankowska. Kobiet, które zajmowały eksponowane stanowiska, było więcej w porównaniu z innymi pokrewnymi dyscyplinami: socjologią, historią, historią sztuki, archeologią, orientalistyką, nie tylko w Polsce, ale również w innych krajach, może z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych. Jakie były tego przyczyny? Czy fakt ten wpłynął na kształt i sytuację etnologii polskiej?*

Kobiety w etnologii! Ich pozycja w etnologii była taka, jak ich pozycja w kulturze polskiej — niestety. O Czaplückiej w „moich” czasach już się nie mówiło. Odeszła do historii. Niewątpliwą indywidualnością była Cezaria, ale i ona traktowana była przez wielu, zwłaszcza tych, którzy jej osobiście nie znali, albo znali słabo, jako córka Baudouina albo pani Vasmerowa, albo Ehrenkreutz, a wreszcie pani ministrowa Jędrzejewiczowa. Należała do kręgów swoich mężów, a nie oni do jej kręgów — zresztą tu jestem niemiarodajna, nie znałam osobiście tej pani. Klimaszewska i Frankowska nie były odbierane jako indywidualności, Frankowska żyła w cieniu męża, druga w cieniu mistrza Moszyńskiego. Zresztą Klimaszewska sama kiedyś przyznała, że po prostu bała się cokolwiek pisać czy referować, bo i tak wiedziała, że w blasku jego intelektu będzie to słabizna. Niestety, choć bardzo wysoko ceniłam Moszyńskiego, muszę przyznać, że ją lekceważył. Była traktowana jako dobra sekretarka, nic więcej.

Zawistowicz-Adamska była, w przeciwieństwie do dwu poprzednio wymienionych pań, osobą o silnej indywidualności i na pewno od nich inteligentniejszą. Miała dobre pomysły, świetnie mówiła, ale i na niej ciążyło piętno „kobieciątka” (czego np. nie ma w najmniejszym stopniu Bronka Jaworska). Choćby fakt, że zgodziła się, by Muzeum Etnograficzne i Archeologiczne w Łodzi zamienić w Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne, przy czym Konrad Jażdżewski został dyrektorem — bo ona nie lubiła administracji i reprezentowania itd. Słowem, Jażdżewski został dyrektorem całą gębą, robił to dobrze, ale Kaziunia zeszła do rangi kierownika „jednego z działów” Muzeum Archeologicznego, co się do dziś fatalnie odbija na Dziale Etnograficznym. Kobiety u nas mają mniej pewności siebie, mniej ambicji, co nie tylko stawia je niżej w „świecie mężczyzn”, ale i one same do tego się przyczyniają.

Co do Hanksi Pojnarowej nie mam wyrobionego zdania. Na pewno była bardzo inteligentna, bardzo dobrze pisała, miała dobry charakter, a przede wszystkim męża, który ją bardzo cenił i ułatwiał jej wyzwolenie ze spraw codziennego życia, sam biorąc na siebie całą „organizację codzienności”. Ona, moim zdaniem, miała wszelkie warunki rozwoju — przy tym nie miała kompleksów środowiskowych. Kariera naukowa to była rzecz zwykła dla niej, jak dla dzieci lekarzy zawód lekarza, dla nauczycieli — nauczyciela.

Sądę, że ustawianie się w drugim szeregu kobiet w naszej dyscyplinie było szkodliwe dla jej rozwoju, ale to pokolenie już odeszło lub odchodzi. Skończyły się kompleksy — teraz rolę odgrywają wartości intelektualne i charakterologiczne, choć pozostanie zawsze „kula u nogi”, jaką są dzieci (miła kula u nogi, ale zawsze).

*Wraz z dr Ewą Fryś-Pietraszkową i dr Anną Spiss brała Pani Doktor udział w przygotowaniu wydanego w roku 2002 słownika „Etnografowie i ludoznawcy polscy”. Jakie były przyczyny podjęcia się tej pracy i jakie napotkały Panie trudności?*

Słownik etnografów polskich był pomysłem Dekowskiego, człowieka niezwykle pracowitego, zamilowanego w swym zawodzie, pełnego naprawdę dobrych pomysłów. Był nauczycielem szkoły podstawowej, ale swój zawód poświęcił dla etnografii, skończył studia, doktoryzował się, a także, co bardzo ważne, miał żonę podziwiająca jego hobby, a potem poważne naukowe zainteresowania, która stworzyła mu idealne warunki rozwoju intelektualnego. Wśród jego dobrych pomysłów znalazł się „słownik etnografów”. Po jego śmierci (żona już wtedy nie żyła), wobec braku zainteresowania w łódzkim środowisku, zabrałam rozpoczętą pracę do Krakowa. Tu zorganizowaliśmy zespół przy Oddziale Krakowskim PTL, składający się z ówczesnego prezesa Oddziału — Anny Spiss, Ewy Pietraszkowej i prof. W. Bieńkowskiego (profesora na UJ i kierownika pracowni biograficznej PAU). Znałam wiedzę Wiesława — „Przemka” i jego wprost niesamowitą pracowitość, a poza wszystkim — związany był z etnografią, napisał pracę o Kolbergu i nieskończoną ilość biogramów do wydawanego przez PAU *Polskiego słownika biograficznego*. Był więc wśród nas jedynym fachowym biografem — no i zabrałyśmy się, w oparciu o jego rady, do zbierania materiałów. Ania i Ewa włożyły w to dzieło morze pracy. Pierwotnie chciałyśmy to publikować w PAU, zreferowałam cały pomysł i stan zaawansowania na Komisji Historii Nauki Polskiej Akademii Umiejętności, co ukazało się drukiem w „Sprawozdaniach” tejże Komisji. Ponieważ jednak tych komisji jest chyba ponad 40 i Akademia rocznie publikuje dziesiątki pozycji, nasz „Słownik”, zakwalifikowany do druku, musiałby czekać. Tymczasem Ania Spissowa jako prezes PTL/Kraków prowadziła bardzo mądrą politykę finansową i ze sprzedaży wydawnictw PTL uzbierała sporo pieniędzy, a do tego znalazła wydawcę. Charakterystyczne — przedstawiony w planie wydawnictw PTL I tom „Słownika” Komitet Badań Naukowych odrzucił, mimo starań naszego PTL-owskiego kierownika Działu Wydawnictw, natomiast tenże tom, z tymi samymi recenzjami, przedstawiony przez naszego krakowskiego prywatnego wydawcę — KBN przyjął i dał pieniądze, a że ich było za mało, dołożyliśmy to, co zaoszczędził Oddział Krakowski PTL — no i tom się ukazał. Drugi tom jest już gotów, w tym wypadku redaktorami będą Pietraszkowa i Spiss. Bieńkowski nie żyje, a ja już się tym nie zajmowałam. Co ciekawe — KBN (czy jak się to teraz nazywa) dał nam wyższą dotację niż ta, o jaką PTL się ubiegało. Ten tom to już całkowicie dzieło Ani Spiss i Ewy. Planujemy już teraz zabrać się do III tomu, przy czym zachęta jest sposób, w jaki ten pierwszy tom został przyjęty.

*Wyjazdy zagraniczne, praca w międzynarodowych zespołach, otwarte drzwi gościnnych domów w Krakowie i Kościelisku, pozwoliły Pani Doktor poznać wielu etnologów z Zachodu i Wschodu. Co interesowało ich w etnologii polskiej i w Polsce?*

Istotnie, przez te kilkadziesiąt lat mojej etnologicznej kariery przez nasz dom krakowski i chałupę kościeliskową przewinęło się sporo osób z Polski i innych krajów,

zarówno indywidualnie przyjeżdżających do Krakowa, jak i w czasie konferencji czy kongresów i zjazdów etnologicznych. Wielu już nie pamiętam, bo pojawiali się raz jeden i więcej do Polski nie przyjeżdżali, a z początku nie prowadziliśmy „Księgi gości”. Najpierw nasza „Księga” powstała w Kościelisku, teraz już jest czwarta, ale zawładnęła nią młodzież i ostatnie tomy pełne są bohomazów i głupkowatych wpisów. W Krakowie założyliśmy ją dopiero w 1974 roku i pierwsi wpisali się pp. Gavazzi z Zagrzebia i Vakarelski z Sofii (Zjazd w Krakowie uczniów Kazimierza Moszyńskiego w rocznicę jego śmierci), potem Tillhagen za Sztokholmu i inni.

Kogo mogłam, zaciągałam „w teren” i to właśnie było dla nich największą atrakcją. Tradycyjność polskiej kultury owych lat! Niejednokrotnie musieli spać na sianie, jeść z jednej miski z gospodarzami, jak „szedł deszcz” dostawali grabie do ręki i musieli „pograbować”, bo kop nie potrafili stawiać. Niejednokrotnie się i upili w gościnnych domach. Nils Bringeus próbował nawet szyć „bukowe” portki u wiejskiego krawca. Fenton, dyrektor muzeum z Edynburga, trafił przypadkowo na chrzciny i tam niesłychanie zaimponował gościom, spijając nieprawdopodobne ilości alkoholu bez najmniejszego śladu upicia się, a co najdziwniejsze, doskonale się z chłopami dogadywał, choć on ani słowa nie umiał po polsku, a oni tym bardziej po angielsku, co im nie przeszkadzało wypić bruderszaftu.

Dopiero teraz właściwie zdałam sobie sprawę, że zagraniczni goście nie pytali ani o nasz pisany dorobek, ani o studia — naprawdę interesował ich teren i tradycyjna kultura. Nawet teraz, kiedy zdaje mi się, że niewiele z niej zostało, moi goście (w odstepie dwóch lat gościłam dwa małżeństwa z USA) dosłownie szaleli z aparatami fotograficznymi, przez kilka dni fotografując dosłownie wszystko i zapełniając grube zeszyty uwagami i szkicami.

*Los zdarzył, że udało się Pani Doktor przeżyć całe życie w jednym, rodzinnym domu. To ewenement w burzliwej historii polskich rodzin inteligenckich. Drzwi domu, niegdyś otoczonego ogrodami, a od lat 70. wciśniętego między wysokie bloki mieszkalne, szeroko otwarte były także dla etnologów. Kogo z etnologów gościła Pani w swoim domu?*

Kogo z etnologów gościłam w swym domu? Trudne pytanie. Mogła by pomóc „Księga gości”, ale tak wielu podpisywało się gryzmołem, że teraz trudno ich zidentyfikować — zresztą to i etnografowie, i orientaliści, i osoby, które po prostu do nas przysyłali wspólni znajomi, żeby poznały nie tylko hotele, ale i zwykle polskie domy.

Z Polaków, to prawie wszyscy, dziś już ze starszego pokolenia. A z innych krajów? Z „pierwszego rzędu” to tylko Malinowski, ale on — za czasów mojego dzieciństwa, więc się nie liczy. Uniwersytet krakowski chciał go koniecznie pozyskać, on postawił sprawę uczciwie, że po prostu Polska nie może dać mu odpowiednich warunków finansowych, by mógł prowadzić badania w krajach pozaeuropejskich.

Żeby odpowiedzieć dokładnie, musiałabym poświęcić co najmniej kilka dni na postudiowanie mego dziennika i korespondencji z tych wielu lat i przeglądnięcie księgi gości. Niektórzy z nich pozostali w mej pamięci dzięki jakiemuś drobiazgowi. Np. dyrektor muzeum z Bazylei (nie pamiętam nazwiska), zajmował się pożywieniem

i marzył o skosztowaniu bigosu. Akurat miałam w zamrażalniku słój litrowy tego specjału — zjadł cały z wielkim apetytem.

*Etnologia obecna jest oczywiście inna od tej sprzed laty. Nazywana jest również antropologią społeczno-kulturową; z ośmioma uniwersyteckimi ośrodkami kształcenia i niewyobrażalną niegdyś liczbą trzech tysięcy studentów stała się ważną dyscypliną edukacyjną. Co cieszy Panią Doktor, a co niepokoi w rozwoju etnologii polskiej?*

Cieszy mnie to, że stała się tak popularna, że objęła swymi zainteresowaniami tak szeroki zakres tematyczny, że wypracowała nowe metody pracy, że tak dalece poszerzyła krąg swych zainteresowań. Martwi mnie natomiast niewspółmierność efektów naukowych do liczby pracowników, tak naukowo-pedagogicznych, jak i studentów. W tym zakresie na pewno jestem niedouczona, więc nie mnie wypowiadać się wartościująco, ale wśród tych tabunów specjalistów nie znam nazwisk, które liczyłyby się poza naszym polskim zaściankiem. Sami sobą jesteśmy zachwyceni, ale czy inni nami również? Jeszcze raz podkreślam, że niestety nie czuję się kompetentna do zabierania w tej sprawie głosu, ale staram się czytać i to, o ile możliwości, w oryginalnym języku, nie tylko w polskim tłumaczeniu, i z pewnym niepokojem stwierdzam, że większość referatów, jakich słuchałam (Komisja Etnograficzna PAN w Krakowie, od czasu do czasu jakiś zjazd itp.), to po prostu mniej lub bardziej swobodne referowanie cudzych osiągnięć — czasem autor nawet zapomina powiedzieć, czyich.

Jesienią tego roku akademickiego byłam na referacie świetnie powiedzianym. Wysłuchałam go z prawdziwą przyjemnością, jakkolwiek tak się złożyło, że właśnie niedawno czytałam nowo wydaną w polskim tłumaczeniu anglojęzyczną książkę na tenże temat, o czym autor nie wspomniał. W rozmowach po referacie wszyscy byli zachwyceni nowatorskim spojrzeniem itd. — i mieli rację. Nie odezwałam się — po prostu było mi głupio. Tego roku akademickiego byłam na referacie, którym autor oczarował tłum słuchaczy swą erudycją. I tu już trochę się zdenerwowałam i coś mnie podkuśiło, żeby użyć blefu. Rzykowałam, bo nie znałam zagadnienia, ale bogactwo cytatów dodało mi skrzydeł. Postanowiłam spróbować. W dyskusji zapytałam autora, czy cytat ze św. Augustyna — to z wydania antiochijskiego, czy rzymskiego, bo on oczywiście wie, że te dwie wersje różnią się dość zasadniczo, akurat w tej sprawie. Nastąpiła chwila zenującej ciszy i autor przyznał, że czerpie z polskiego tłumaczenia, gdzie te sprawy nie były wyjaśnione (pojęcia nie mam, czy istnieje jakieś antiochijskie i rzymskie wydanie, ale on też nie wiedział — to moje szczęście, bo mogłam się wygłupić).

Żeby odpowiedzieć krótko. To dobrze, że etnologia polska (a przede wszystkim światowa) spozrzała na kulturę ludów nowymi oczyma, że dostrzegła nowe i nowatorskie trendy. Niepokoi mnie brak w Polsce naukowych indywidualności na szerszą skalę. Niepokoi mnie również brak zainteresowania dla własnych źródeł nauki. Trudno powiedzieć, że mamy nic nie znaczącą historię, językoznawstwo, nauki przyrodnicze. Szczególnie jeśli chodzi o nauki ścisłe, ale i nauki o ziemi, nauki przyrodnicze — biologię, czy nawet tak nowoczesne, jak astronomia — wszystkie one wyprzedza-

ją w tempie rozwoju naszą staroświecką humanistykę, ale i one nie odcinają się od historii swej dyscypliny.

Nasza współczesna antropologia społeczna i kulturowa, podobnie jak inne nauki o człowieku i jego kulturze, nie powinny odcinać się od korzeni, z których wyrosły, a swe nowatorskie spojrzenie powinny opierać na otaczającej nas rzeczywistości i korzeniach, z których zrodził się nasz dzień dzisiejszy, nasze współczesne problemy — a te sprawy są przez nas traktowane co najmniej z lekceważeniem.

Lubię, tak dla rozrywki, grzebać w naszej bibliotece Akademii Umiejętności (ponad pół wieku jest moim drugim domem), czy w archiwum tejże Akademii i mniej czy więcej głęboko znam tematykę nowo publikowanych prac humanistycznych (i nie tylko), i nigdzie nie spotkałam takiej pogardy dla własnych źródeł, jak w naszej dyscyplinie.

